

aleje 3

NUMER 64 listopad - grudzień 2007
ISSN 1427-8812 CENA 2 zł

Dwumiesięcznik Kulturalny Częstochowy





aleje 3

Dwumiesięcznik Kulturalny Częstochowy

**Pismo finansowane
przez Urząd Miasta Częstochowy**

Wydawca

Biblioteka Publiczna
im. dr. Wł. Biegańskiego
w Częstochowie
Al. Najświętszej Maryi Panny 22
42-200 Częstochowa
Tel. 034/ 360-56-28
www.biblioteka.czest.pl

Redakcja

Aleje NMP 22
42-200 Częstochowa
Tel. 034/ 360-56-28
aleje3@op.pl

Teksty niezamówione nie będą zwracane.
Zastrzegamy sobie możliwość opracowania
i skracania przysyłanych materiałów.

Poglądy Autorów nie zawsze
odzwierciedlają poglądy Redakcji

Red. Naczelny

Marian P. Rawinis
Tel. 0505-666-486
mprawinis@poczta.onet.pl

Skład i łamanie

Krzysztof Klaus

Druk i oprawa:

Sowa - druk na życzenie
www.sowadruk.pl
tel. (0-22) 431-81-40

**Publikacja współfinansowana
przez Samorząd Woj. Śląskiego**



Cudze chwalicie, swego nie znacie – powiada przysłowie. Ludowe mądrości zawierają w sobie niemało życiowej prawdy. To przysłowie oznacza stan obserwowany dość powszechnie także i w naszym mieście. Zachwycamy się tym, co mają gdzie indziej i robimy wszystko, żeby i u nas było podobnie. Wolimy naśladować, zachwycać się cudzymi zwyczajami, cudzą sztuką, cudzymi artystami. Chodzimy z głową podniesioną do góry i bywa, że nie patrząc pod nogi, wprost potykamy się o miejscowe skarby.

Nie umiemy sprzedawać tego, co nasze, a nie chcemy uczyć się od innych. Góralskie ciupagi sprzedaje się dziś jako pamiątki z Mazur lub znad morza, choć nawet dziecko wie, że są charakterystyczne dla terenów gorskich. Pamiątka z Jastarni - głosi napis na drewnianej ciupadze kupionej nad Bałtykiem i tylko patrzeć, jak będzie można kupić drewnianą ciupagę z napisem: pamiątka z Jasnej Góry.

Wśród rozmaitych pomysłów promujących miasto, niektóre wydają się udane i skuteczne. Sięgamy do promocji przez kulturę, bo ta jest językiem uniwersalnym. Chwalimy się więc dokonaniem artystów związanych z Częstochową, jak Jerzy Duda-Gracz, przypominamy naszych poetów: Ludmiłę Marjańską, Władysława Sebyłę. Miasto drogami urzędowymi czyni wielkie wysiłki, by uprzytomnić ludziom w Polsce, że - postrzegana jako krakowska - Halina Poświatowska jest przede wszystkim nasza. Ma o tym świadczyć Muzeum - Dom Poezji, liczne publikacje, a nawet pomnik - ławeczka przy głównej ulicy. W poszukiwaniu postaci i materiałów do promocji urząd poszedł bardzo daleko, chwali się nawet i tym, że z Częstochowy wywodzi się matka francuskiej aktorki Juliett Binoche, a wkrótce dowiemy się zapewne o czymś dziadku albo ciotecznej babce.

Jednocześnie nie zauważamy wybitnych postaci, które twórczością, a i miejscem zamieszania były mocno związane z Częstochową. Na przykład Maria Dąbrowska (1889-1965), autorka wielu książek, z których co najmniej jedna, „Noce i dnie”, należy do najwybitniejszych dokonań literatury polskiej i literatury europejskiej XX wieku. Powieść przełożono na szereg języków obcych, doczekała się znakomitej adaptacji filmowej, rozslawiającej książkę na cały świat wielkimi kreacjami Jadwigi Barańskiej i Jerzego Bińczyckiego. Za kamerą stał Jerzy Antczak, ten sam zresztą, który wykorzystał bliższe nam plenery jurajskie w filmie „Hrabina Cosel”.

Jakoś trudno w naszych miejskich wydawnictwach promocyjnych natrafić na informacje, że Maria Dąbrowska przez rok mieszkała w dworku Jełowickich na Sabinowie, gdzie zastała ją wojna światowa. Bywała w tym domu wielokrotnie aż po rok 1922 i to właśnie tutaj powstała jej pierwsza książka lietracka - „Uśmiechy dzieciństwa”. Podobno jeszcze do niedawna istniał ten dom. „Noce i dnie” są przepelnione miejscowymi, częstochowskimi akcentami. Podobno sam Sabinów stał się powieściowym Serbinowem.

Z jakichś powodów związku Marii Dąbrowskiej z naszym miastem są pomijane w materiałach promocyjnych. Z niewiedzy? Z lenistwa? Książki Marii Dąbrowskiej nie potrzebują lansowania ani promocji. Promocji potrzebuje Częstochowa. Może warto przywrócić Dąbrowską Częstochowie?

Cudze chwalicie, swego nie znacie...

Marian Piotr Rawinis

REALNOŚĆ NIECODZIENNA

z Piotrem Staszczkiem
rozmawia Marian Panek

Dlaczego malujesz? Co Cię interesuje w malarstwie?

Dlaczego maluję? Sam nie wiem, chyba dlatego, że lubię to robić. Malowanie jest przyjemnym zajęciem, a jednocześnie pozwala na przekazanie swojego myślenia za pomocą znaku. Dla mnie jest to po prostu pewna metoda porozumiewania. Osobiście uważam, że dzięki temu obserwowane zjawiska można w jakiś sposób odtworzyć lub zmaterializować. W malarstwie interesuje mnie człowiek i jego bezpośrednie otoczenie. Przecież to my jesteśmy odbiorcami tego, co widzimy. Jeśli nie byłoby oglądającego, po co cokolwiek robić? Wszystko można zobaczyć dzięki światłu, więc i to zjawisko jest dla mnie najważniejsze. Bez światła nie ma obrazu.

Twoje malarstwo jest przedstawiające, ma swoją wewnętrzną fabułę. O czym chcesz opowiadać?

Bardzo często przekonywałem się o tym, że realność znaku powoduje czytelność odbioru. Nie znaczy to jednak, że czym prościej tym łatwiej. Malarstwo jest pewnym zjawiskiem. To odbiorca jest twórcą fabuły, każdy ma inną. Ja maluję człowieka. Widzę go jako coś niezwykłego. Często jest to rodzina, przyjaciele, ludzie którzy mnie otaczają. Ale to tylko moje wrażenia. Maluję siebie – nie tylko w autoportretach ale w każdym obrazie i nie ma tu niczego niezwykłego. Jeśli nie byłoby mnie, nie byłoby obrazów. Życzyłbym sobie, żeby to, co robię, było bardziej zrozumiałe dla innych.

Nigdy nie czuleś potrzeby namalowania obrazu abstrakcyjnego? Jakby on mógł wyglądać?

Jeśli chodzi o malarstwo abstrakcyjne jest to kwestia koncepcji. Abstrakcja to niekoniecznie odejście od realnej formy. Często używam elementów, które uważam za abstrakcyjne, najczęściej jest to kolor. Maluję obrazy w pewnym stopniu abstrakcyjne, chociaż nie każdy jest w stanie to zobaczyć. Bardziej abstrakcyjnie malowałem na studiach, nie używałem realnej formy, wolałem ekspresję, świadomie zrezygnowałem z tego, żeby uzyskać czytelność. Jakby miał wyglądać mój obraz abstrakcyjny? Szczerze mówiąc - nie wiem.



Myślę, że Twoje malarstwo powstaje w ścisłej relacji z codziennością. Jak rodzi się pomysł na obraz?

To fakt. Codzienność, jak mówisz, jest mi bliska. Każdy dzień może być ostatni. Właśnie dlatego warto o tym malować, w jakiś sposób opowiedzieć. To nie pesymizm, to zdrowy rozsądek. Po co wymyślać sytuacje w malarstwie? Wszystko jest relacją i wszystko też można zmienić, przynajmniej jeśli chodzi o obraz jest to możliwe. Dodatkowa kreacja jest niepotrzebna. Niesamowitość to brak zrozumienia zjawisk, dotyczy to również obrazów. Poprzez obserwację pojawia się pomysł, jest on niejednokrotnie zmodyfikowany w trakcie malowania obrazu i tak właśnie to się rodzi.

Jakie masz plany artystyczne?

Co do planów artystycznych, to szczególnie dużo nie wydarza się. Wystawa w Zachęcie i może jakies nie do końca sprecyzowane wystawy w innych galeriach. Mam nadzieję, że to się uda i wtedy będzie o czym mówić. Nie ma co zapeszać.

Czy praca w szkole, z młodzieżą, ma dla Ciebie specjalne znaczenie?

Praca w szkole to niezłe doświadczenie. Uczę w szkole podstawowej i w gimnazjum. Pochłania to dużo energii, więc przez to mniej maluję, ale może i to jest dobre, w końcu nie ilość, tylko jakość się liczy. Wszystko ma znaczenie, ale najbardziej chyba relacja z dziećmi; są niesamowite i zaskakujące. Można się od nich wiele nauczyć, przede wszystkim cierpliwości.

Czy w malarstwie, według Ciebie, istnieje temat tabu? Dlaczego wielka sztuka czasami posługuje się skandalem?

Tabu to pojęcie względne. Ludzie bardzo często prowokują sztuką, żeby przełamać stereotypy. Wiemy to z historii i codzienności, widzimy jak to się zmienia, nieraz tego nie rozumiemy. Dlaczego skandal? A dlaczego nie? W końcu, często przez skandal zmieniamy myślenie. Często pojawia się nowa jakość. Można się z tym zgadzać albo nie, ludzie są wolni i jeśli tylko nie zabijają za to, że pokazuje się jakąś twarz lub karykaturę, to chyba ok. Troszkę dystansu do samego siebie nie zaszkodzi. Nie wiem też, czy skandal to wielka sztuka, chyba nie bardzo, jeśli jest coś wielkiego, to jest wielkie i dodatkowy poklask



jest niepotrzebny. Chyba raczej mizerne zjawiska potrzebują rozgłosu.

Warto inwestować w sztukę? Jak Częstochowa mogłaby się stać miastem sztuki?

Inwestowanie w sztukę pomaga wszystkim. Estetyka i dobre wrażenia powodują rozwój nie tylko intelektualny, można na tym świetnie zarabiać. Przecież w ładnych miejscach łatwiej się żyje. Czy Częstochowa mogłaby być miastem sztuki? Myślę że tak, to również zależy od nas. Mamy ogromny potencjał – bardzo wielu twórców w różnych dziedzinach, świetnie działających na rynku, nie tylko polskim. Pojawiają się nowe możliwości, takie jak Zachęta. Więc życzę tego sobie i innym, a przede wszystkim Częstochowie, aby nasze miasto każdy mógł kiedyś postrzegać w ten sposób.

Dziękuję za rozmowę.



TRZEBA LUBIĆ LUDZI

Rozmowa z Ewą Derdą,
dyrektorem Biblioteki Publicznej

Kiedy przed 90 laty doktor Władysław Biegański zainicjował powołanie w Częstochowie biblioteki, miała ona służyć wszystkim mieszkańcom miasta. Jaką rolę Biblioteka Publiczna, dziś jego imienia, pełni dzisiaj?

Władysław Biegański zakładał bibliotekę publiczną. Sama nazwa wskazuje, że jest to biblioteka ogólnie dostępna. Natomiast zbiory, które na początku w tej bibliotece były, na pewno nie bardzo odpowiadały ówczesnej miejskiej społeczności. To



były inne czasy i nawet potrzeba czytania nie była tak rozpowszechniona. Ale sądzę, że Biegański perspektywicznie zakładał, że biblioteka swoim zasięgiem będzie obejmowała coraz to większe kręgi mieszkańców Częstochowy. Biblioteka Publiczna w Częstochowie dzisiaj to instytucja obsługująca ponad 60 tysięcy mieszkańców naszego miasta i najbliższych okolic. Jest to więc instytucja kultury mająca największy zasięg społeczny. Z usług biblioteki korzystają wszystkie grupy społeczne, zawodowe, wiekowe. Szczególnie musimy wyróżnić grupę ludzi młodych, uczniów szkół podstawowych i średnich oraz studentów – to jest rzesza, która stanowi gros naszych czytelników. Mniej z usług biblioteki korzysta osob 40-50 letnich, potem znowu następuje wzrost czytelnictwa u osób które nie są już czynne zawodowo. Z zasobów biblioteki korzystają wszyscy: małe dzieci, które jeszcze same nie potrafią czytać a którym czytają rodzice, uczniowie, studenci, ludzi dojrzałych i bardzo dojrzałych.

Istnieje w Częstochowie wiele różnych bibliotek. Są szkolne, uczelniane, rozmaitych instytucji, a także kościelne. W czym tkwi sens utrzymywania biblioteki publicznej?

Biblioteka publiczna ma charakter uniwersalny. Staramy się, żeby księgozbiór był dostosowany do potrzeb i wymagań wszystkich grup czytelniczych. Natomiast biblioteki szkolne czy uczelniane mają zbiory przydatne dla tylko swoich, dość wąskich grup odbiorców.

Zbiory o charakterze uniwersalnym? Więc nie tylko to, co jest potrzebne różnym odbiorcom teraz, ale i to, co może być potrzebne dla nich w przyszłości?

Sytuacja finansowa nie bardzo pozwala, żebyśmy tak perspektywicznie kupowali książki. Nasza komisja zakupów ten element bierze pod uwagę, natomiast niedobory finansowe zmu-

szają nas do uwzględniania przede wszystkim bieżących potrzeb czytelników.

A skąd się biorą książki w bibliotece?

Książki kupujemy najczęściej poprzez hurtownie, jest to najtańszy sposób. Jeżeli chodzi o książki naukowe, których nie możemy w systemie hurtowym uzyskać, kupujemy w wydawnictwach a czasem w księgarni. Ponieważ pieniędzy na zakupy nowości jest mało, bardzo skrupulatnie to wszystko liczymy.

Kto daje pieniądze? Samorząd gminny?

Gros pieniędzy na zakupy nowości otrzymujemy z budżetu państwa. Samorząd przekazuje nam środki na prowadzenie działalności. Jednak nie są one wystarczające, w związku z czym na zakupy nowości zostaje nam bardzo niewielka kwota. Większość środków na ten cel przekazuje nam Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Jest to dla nas podstawowa dotacja celowa.

Ile książek może kupić Biblioteka Publiczna w ciągu roku?

W bieżącym roku otrzymaliśmy z ministerstwa kultury 180 tysięcy złotych na zakup książek, 90 tysięcy dało miasto. To razem 270 tysięcy w ciągu roku, możemy liczyć, że uda nam się za to kupić około 11 tysięcy książek. Nie jest to dużo, potrzeby czytelnicze są znacznie większe. Główny nacisk kładziemy na literaturę edukacyjną, natomiast bardzo istotną rzeczą jest zakup literatury pięknej. Rynek wydawniczy jest bardzo bogaty i czytelnicy widząc nowe tytuły w księgarniach przychodzą do biblioteki, chcieliby te nowe książki mieć dostępne. Wielkich możliwości finansowych Biblioteka nie ma, dokonuje się wyboru, zarówno placówek, dla których przydziela się literaturę piękną, jak i również wyboru poszczególnych tytułów. Część środków pozyskujemy też od czytelników, w ramach Koła Przyjaciół Biblioteki. Czytelnicy deklarują niewielkie pieniądze, staramy się, aby te środki były wykorzystywane na zakup książek. Przecież nowe książki w bibliotece, to jest podstawa jej funkcjonowania. Wprawdzie mamy w zbiorach około 700 tysięcy pozycji, ale trzeba przyznać, że duża część, według moich wyliczeń 30 procent, są

to książki, do których być może nigdy już żaden czytelnik nie sięgnie. Stopniowo usuwamy je z naszych placówek, kupując w to miejsce takie, które są w danej placówce potrzebne.

Korzystanie z biblioteki jest bezpłatne. Czy myśli się o wprowadzeniu jakiejś formy odpłatności za korzystanie ze zbiorów?

Na początku lat 90. kilka bibliotek w Polsce podjęło taką próbę, ale jest to niezgodne z polskim ustawodawstwem i należało z tego zrezygnować.

A Pani zdanie? Biblioteki powinny być bezpłatne?

Jestem bibliotekarzem starej daty i uważam, że dostęp powinien być bezpłatny. Dla mnie jedyną formą do przyjęcia jest formuła dobrowolnego opodatkowania się czytelników poprzez Koło Przyjaciół Biblioteki.

Jest spora konkurencja w zakresie źródeł, z których można czerpać wiedzę. Jak sobie radzą biblioteki z nowinkami? Bo rozumiem, że w zbiorach BP istnieją nie tylko książki tradycyjne.

Są u nas także wydawnictwa multimedialne, została uruchomiona pracownia internetowa. Ale trudno uznać, że internet jest wystarczającą formą edukacyjną. Wiem, jak to wygląda w krajach zachodnich, gdzie internet jest wszechobecny, ogólniedostępny. Okazuje się, że tam czytelnictwo, biblioteki, bo o tym mówię, jest znacznie wyższe niż u nas. Odbieram to jako rozbudzanie przez internet zainteresowania czytelniczego i sięganie przez czytelnika do książek.

Bo może internet jest tylko formą równoległą? Biblioteki nie powinny zwalczać nowych form technicznych, a te nie powinny zwalczać książki w tradycyjnej postaci.

Zgadzam się. Byliśmy jedną z pierwszych bibliotek w Polsce, gdzie zainstalowano komputery, wprowadzono program biblioteczny, gdzie zorganizowano pracownię internetową. Szkoda, że w tej chwili niedofinansowanie nie pozwala nam na rozwój sieci miejskiej. Komputeryzacja obejmuje tylko wybrane placówki – naszą centralę, bibliotekę

młodzieżową i trzy placówki filialne na terenie miasta. Zatem nie zwalczamy się, chcielibyśmy żeby w bibliotece dostęp do internetu istniał obok udostępniania książek. Tym bardziej, że nasze społeczeństwo nie jest zbyt zamożne i jeszcze pewno nieprędko w każdym domu mieszkańcy Częstochowy będą mogli posiadać dostęp do internetu.

W niektórych krajach upowszechnia się formuła skanowania zbiorów i udostępniania ich czytelnikom w sieci.

W Polsce taki kierunek został już wyznaczony. I w naszych zasobach mamy część zbiorów zdigitalizowanych, z których można korzystać drogą elektroniczną. W bieżącym roku biblioteka nasza przystąpiła do Śląskiej Biblioteki Cyfrowej, tam przekazujemy to, co mamy na elektronicznych nośnikach.

Na razie chyba niewiele...

Zaczęliśmy od prasy, tej najstarszej. Ponieważ ona ulega zniszczeniu i właściwie głównym naszym celem było ochronienie jej przed zniszczeniem. A wszystko rozbija się o środki finansowe.

Podstawą działalności biblioteki są więc zbiory głównie książkowe...

Bardzo ważną rzeczą jest to, że od szeregu lat Biblioteka prowadzi działalność kulturalno-oświatową. Wszystkie placówki na terenie miasta przykładają ogromną wagę do skupiania wokół siebie młodych ludzi, bo działalność dotyczy przede wszystkim uczniów; prowadzone są konkursy, lekcje biblioteczne, spotkania autorskie. Uczestniczymy w programie Cała Polska czyta dzieciom, a nie traktujemy tego hasłowo, w ciągu całego roku odbywają się tego typu spotkania w poszczególnych placówkach. Ponadto zajęcia plastyczne z dziećmi, funkcjonuje teatrzyk kukiełkowy. Ta działalność obejmuje coraz szerszy krąg odbiorców. Jest pracownia komputerowa, można korzystać w godzinach otwarcia biblioteki. Jest dla mnie bolączką, że ta ostatnia działalność jest odpłatna. Uważam, że biblioteka powinna i tę usługę, skoro inne usługi są nieodpłatne, świadczyć też bez opłaty.

Jak prowadzić bez opłaty pracownię komputerową, jeśli kilkanaście metrów od biblioteki istnieją kawiarnie internetowe, w których trzeba płacić?

Uważam, że komputery w bibliotece powinny służyć edukacji. Nie rozrywce, więc nie gry i nie strony, z których młodzi ludzie raczej nie powinni korzystać. W naszej pracowni jest wyznaczone stanowisko, przy którym może sobie człowiek nieposiadający własnego komputera napisać pracę domową, semestralną czy inną.

Mamy więc dzięki Bibliotece możliwość wypożyczenia książki w wypożyczalni głównej i w placówkach filialnych, mamy możliwość skorzystania ze zbiorów na miejscu, w czytelniach książek i czasopism. I jest jeszcze wyspecjalizowany oddział zajmujący się tylko regionem częstochowskim.

Mamy bardzo bogate zbiory czasopism, w chwili obecnej około 400 tytułów, co uważam za bardzo korzystne z tego względu, że wiedza naukowa poprzez czasopisma najszybciej dociera do czytelnika. Natomiast od lat gromadzimy czasopisma archiwalne, oprawiamy w roczniki. Oddział regionalny też już ma sporo lat, jakieś 30 lat temu zaczęto zwracać szczególną uwagę na to wszystko, co związane jest z Częstochową i regionem częstochowskim.

Biblioteka Publiczna to wielka instytucja. Tak zwana Centrala i 25 placówek na terenie miasta, ponadto opieka nad placówkami na terenie powiatu. Potrzeba dużej grupy ludzi.

Szeroki przekrój wiekowy, od ludzi bardzo młodych aż do takich, którzy dobiegają wieku emerytalnego. Zróżnicowany jest również poziom wykształcenia. Należy zwrócić uwagę, że teraz zwiększają się ilość pracowników z wykształceniem wyższym ale niekoniecznie kierunkowym bibliotekoznawczym. Wzrasta ilość pracowników po różnych kierunkach studiów, których zatrudnienie w bibliotece uważam za słuszne, bo przecież kwerendy czytelnicze są z różnych dziedzin wiedzy. Młodzi pracownicy podejmują studia podyplomowe bibliotekoznawcze, przygotowujące do wykonywania zawodu.

Do pracy w bibliotece potrzebna jest więc wiedza z różnych dziedzin, a także wiedza zawodowa, bibliotekoznawcza. Czy coś jeszcze?

Podstawowa rzecz: należy lubić ludzi, odpowiednio się w stosunku do nich zachowywać, starać się zrozumieć ich potrzeby, ich problemy. I oczywiście wymaga ten zawód stałego samokształcenia. Na uczelniach człowiek nauczy się pewnych technicznych czynności, natomiast chcąc służyć czytelnikowi radą bibliotekarz musi poruszać się swobodnie po różnych dziedzinach wiedzy.

To jest praca dla fachowców, dla pasjonatów?

Dla jednych i drugich.

A do której grupy Pani się zalicza?

Rozpoczęło się od pasji. Trafiłam do zawodu przypadkowo, bardzo spodobała mi się praca w biblio-

tece, w miarę upływu czasu poznawałam poszczególne zakresy pracy bibliotekarskiej i jej specyfikę. Specyfika mnie zafascynowała. Dla mnie praca bezpośrednio z czytelnikiem była najprzyjemniejszym rodzajem pracy. Z łezką w oku wspominam tamte czasy, gdy miałam do czynienia z ludźmi; poznaje się człowieka tak do głębi poprzez ten specyficzny kontakt. A jednocześnie stały kontakt z książką, konieczność która przekształca się w potrzebę chociażby przeglądnięcia każdej książki, która do biblioteki dociera. Uważam, że bardzo dużo w ten sposób zyskałam osobiście, dla własnego rozwoju.

Czytelnicy narzekają na ciasnotę w budynku głównym Biblioteki Publicznej. Ale podobno jest planowany generalny remont...

Pod koniec lat 60. ówczesne władze miasta przystąpiły do rozbudowy biblioteki. W roku 1974 biblioteka została, już w nowym swoim kształcie, oddana użytkownikom. Wówczas przewidywa-



Arkadiusz Zajac



Arkadiusz Zajac

no, że te pomieszczenia wystarczą do 1990 roku. Okazuje się, że mijają kolejne lata, robi się coraz ciasniej, a i nie ma w bibliotece, koniecznych w dzisiejszej rzeczywistości, pomieszczeń specjalistycznych, pracowni. W związku z tym władze Częstochowy podjęły decyzję o konieczności rozbudowania biblioteki, a ta decyzja została wpisana w wieloletni plan inwestycyjny rozwoju miasta. Rozbudowa ma się rozpocząć w 2010 roku. Mam nadzieję, że będzie to biblioteka XXI wieku, taka jakie powstają w tej chwili w całym kraju, czyli biblioteka przyjazna czytelnikowi, spełniająca jego oczekiwania. Jest możliwość wybudowania od podstaw gmachu, który wystarczyłby na kolejne lata: około 3 tysiące metrów kwadratowych powierzchni, żeby znalazły się tam sale czytelniane, z podziałem na czytelnie młodzieżowe i dla dorosłych, czytelnie czasopism. Miejsce, gdzie znajdują się w chwili obecnej, zagospodarowalibyśmy dla wypożyczalni, żeby była możliwość rozdzielania księgozbioru popularno - naukowego i naukowego od zbioru z literaturą piękną. Usprawniłoby to pracę z czytelnikiem, byłyby chyba lepsze możliwości realizowania potrzeb czytelniczych.

Remont czy budowa od początku?

Wyobrażamy sobie, że byłaby to budowa od podstaw, nowy gmach, który w logiczny sposób, a i ładny, zostałby połączony z istniejącym już budynkiem, z jego oficynami. Potrzebne by były pracownie, sale odczytowe i wystawiennicze, bo biblioteka nie może się ograniczać tylko do książek, jak już wcześniej mówiliśmy. Biblioteka ma przecież związki z plastyką, z muzyką, więc byłyby potrzebne miejsca do tego rodzaju działalności. Nie jestem fachowcem od budowy, ale liczę, że byłby to koszt między 16 a 20 milionów złotych.

Czy z tego planu inwestycyjnego wynika tak zwane zabezpieczenie środków?

Tak. Z tego co wiem, zarezerwowano tam 16 mln złotych na rozbudowę biblioteki i 9 milionów na remont starego zasobu. Dla mnie logiczne byłoby rozpoczęcie prac od rozbudowy, po wykonaniu tego zakresu prac można by było przenieść z budynku dotychczasowego czytelnie a także okresowo wy-

pozyczalnie i wówczas dopiero reomontować stary budynek. Żeby nie trzeba było gdzieś na mieście szukać pomieszczeń, i to dużych pomieszczeń, na czas remontu. Biblioteka nie może przerwać działalności a remont będzie przecież jednak jakiś czas trwał. W międzyczasie, uważam, w starym budynku należałoby zrobić co najpotrzebniejsze, przede wszystkim wymienić okna, dokonywać takich awaryjnych napraw, a przystąpić jak najszybciej do rozbudowy.

Czy w nowej bibliotece znajdą się też audiobooki? Literaturę można poznawać nie tylko oczami, ale i uszami.

Kupujemy i audiobooki, choć w niewielkim zakresie. Główny nacisk kładziemy na zakupy „książki mówionej”, ponieważ jest w Częstochowie ośrodek dla osób niedowidzących i niewidomych; rozpoczęliśmy to wiele lat temu i kontynuujemy zakup takich zbiorów. Z książki mówionej korzystają równie chętnie młodzi ludzie. To jest poznawanie literatury, znacznie lepsza forma, niż czytanie jakiś bryków czy oglądanie filmu będącego ekranizacją dzieła. Dla młodych ludzi ta formuła jest dość wygodna. Oni są przyzwyczajeni do chodzenia ze słuchawkami, wykonując różne czynności słyszą tekst, szczególnie że te teksty są w bardzo staranny sposób nagrane; wydaje mi się, że jest to nawet korzystniejsze w odbiorze, bo jeżeli coś jest dobrze przeczytane, to czytelnik wyłapuje to, czego często nie wyłapie tylko własnym wzrokiem.

Gdyby Pani niespodziewanie otrzymała dużą kwotę dla Biblioteki, z jakiegoś czarodziejskiego źródła, to jak byłaby ona podzielona?

Przede wszystkim kupilibyśmy książki. A że mijają kolejne lata i rozpoczęta na początku lat 90. komputeryzacja stanęła w miejscu, to kolejnym priorytetem byłaby komputeryzacja placówek. Chciałabym, żeby biblioteka stała się bliższa czytelnikowi, szczególnie czytelnikowi młodszej generacji, żeby przychodząc do biblioteki mógł skorzystać z internetu, w poszukiwaniu różnych informacji, a później, gdy zechce bardziej rozwinąć temat, poszukać literatury dostępnej literatury na dany temat. Komputeryzacja to też kwestia informacji, w ciągu kilku sekund czytelnik ma informację, gdzie poszuki-

KSIĄŻKA

waną książkę na terenie miasta może otrzymać. Bardziej więc chodzi mi o interes czytelnika niż bibliotekarza, choć usprawnienie pracy też ma tu znaczenie. Aktualnie mamy centralny katalog, ale czytelnik żeby z niego korzystać, musi mieć dostęp do komputera i sieci. Jeśli przychodzi do biblioteki najbliższej miejsca zamieszkania czy miejsca pracy i nie ma tam poszukiwanej przez niego pozycji, miałby możliwość dowiedzieć się, gdzie ona jest i zarezerwować dla siebie.

Biblioteka Publiczna im. dr. Władysława Biegańskiego obchodziła jubileusz 90-lecia. Z tej okazji odbyła się gala w teatrze. Po co się robi takie jubileusze?

Uważam, że warto było zrobić taką imprezę jubileuszową, żeby pracownicy czuli się dowartości-

wani. Nie wiem, czy akurat w takiej formie czy może w nieco innej; chyba bliższe dla naszych pracowników byłoby zorganizowanie spotkania w budynku biblioteki, ale wpisano nas w obchody Roku Władysława Biegańskiego... Była to sympatyczna impreza, święto nasze i święto książki. Szkoda, że była taka mała możliwość zaproszenia na uroczystość ludzi czytających, korzystających z biblioteki mieszkańców Częstochowy.

Nie ma takiego pomieszczenia, gdzie można by zaprosić wszystkich czytających z naszego miasta...

Wszystkich zapraszamy do naszej Biblioteki.

Rozmawiał Marian P. Rawiniś



Truchcikiem po galeriach

„Światło midraszy” oraz „Kalendarz pamięci według Bruno Schulza” to wystawa malarstwa Miry Żelechower-Aleksiu z Wrocławia, zaprezentowana przez częstochowską Zachętę w nowej siedzibie towarzystwa, Konduktorowni. Te dwa cykle obrazów frapują swoimi inspiracjami i źródłami. Pierwszy, jak określa sama malarzka, jest rodzajem autorskich komentarzy do parszy, czyli cotygodniowego czytania Tory. Drugi powstał z fascynacji literacką twórczością Schulza i jego trzynastu opowiadań składających się na „Traktat o manekinach” ze „Sklepow cynamonych”. Artystka odkrywa w tych opowiadaniach zakamuflowany kalendarz żydowski i tworzy obrazy, karty-mapy poszczególnych miesięcy kalendarza. Jest ich 13, gdyż jeden z miesięcy, adar, jest podwójny¹. Dużej wielkości płaszczyzny tych kart są twórczym połączeniem cytatów z rysunków Schulza z malarską wizją jego literackiego świata tajemniczych klimatów i enigmatycznych bohaterów.



¹ Adar B – miesiąc przestępny, nie zdarza się co roku (przyp. Redakcji)

W Galerii OPK „Gaude Mater” Joanna Banek-Chudy przedstawiła swoje najnowsze malarstwo oraz tkaninę w ramach cyklu imprez „Dni Kultury Chrześcijańskiej”. Tytuł wystawy „A słowo ciałem się stało” był, oględnie mówiąc, mało adekwatny do pokazanych prac. Interesujące i efektowne, zgeometryzowane w swych układach kompozycyjnych tkaniny, mają bez wątpienia początki w malarskich przemysleniach artystki.

W pubie „Oslo” prezentuje swoją twórczość fotograficzną, opartą na przetwarzaniu obrazu cyfrowego, Konrad Kucharski, absolwent Akademii Jana Długosza w Częstochowie. Jego wystawa nazwana „Clock” przedstawia szereg fotogramów zrealizowanych jako kolaże zdjęciowe złożone z makrofotograficznych kadrów. Kompozycje, rozegrane w kole wpisanym w kwadrat, odnoszą się do zagadnień związanych z czasem – jego mierzeniem i przemijaniem. Autor różne zegary i zegarki oraz ich części multiplikuje, nakłada na siebie, przesuwają, manipuluje nimi przy pomocy komputera, uzyskując nowy wyraz, ekspresję i znaczenia z widoku znanego nam od zawsze banalnego przedmiotu, rekwizytu towarzyszącego nam przez całe życie. Jak sam autor mówi „Nie spotkałem innego przedmiotu równie powszechnego, a jednocześnie indywidualnego, jak zegar”.

W tym samym pubie „Oslo” odbył się dziewiąty już Slajd Show. Wykonał go Piotr Bednarek. Pokazał kilka cykli fotograficznych udanie skomponowanych. Wyrazu tej zabawnej układance zdjęć wyświełtanych na dużym ekranie dodawała zgrabnie dobrana muzyka. Widzom najbardziej podobało się „Pielgrzymowanie”, które zostało nagrodzone oklaskami. Żywa była też reakcja publiczności na udane portrety znanych częstochowskich fotografików w chwilach zawodowego zapomnienia. Całości patronował Grzegorz Skowronek, tym razem promotor młodej fotografii.

Miejska Galeria Sztuki zaprezentowała twórczość Gustawa Zemły, postaci kultowej i gigantycznej polskiego rzeźbiarstwa. Wystawa jest małą retrospektywą ogromnego dorobku artysty. Znakomite „myślenie rzeźbą” Zemły zostało w częstochowskiej MGS zbanalizowane. Ponad sto obiektów, w tym projekty

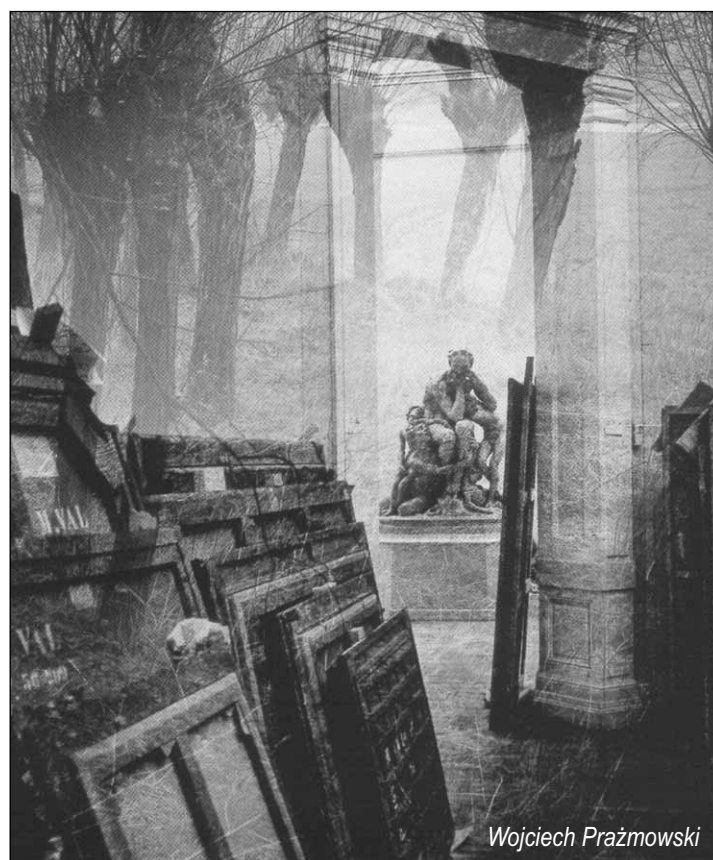
rzeźb monumentalnych, zdjęcia i fotogramy dokumentalne z realizacji Pomnika Powstańców Śląskich, pokazano w sposób amatorski. Najwyższej klasy dzieła były stłamszone na zbyt małej przestrzeni. Po raz pierwszy zobaczyłem piękne, odlane w brązie plakiety-płaskorzeźby przedstawiające obrazy staro- i nowotestamentowe. Najwyższej próby są również rzeźby kameralne Zemły. Jego głowy portretowe „świecą” prostotą modelunku, skupieniem, ideą zawartą w proporcjach i genialnym nasyconiem znaczeniami.



„Zawsze z nadzieją cz. III” - wystawę o tym tytule zaprezentowało Duszpasterstwo Środowisk Twórczych i Muzeum Częstochowskie w ramach „Dni Kultury Chrześcijańskiej” w odnowionych dwóch salach budynku przy ulicy Katedralnej 8. Dziewięciu autorów zaproszonych przez komisarza Jakuba Jakubowskiego przedstawiło kilkanaście obrazów o zróżnicowanym poziomie artystycznym. Wyróżniały się z dobrej strony prace Jacka Sztuki oraz Rafała Głowackiego i Jarosława Kweclicha. Ograniczona w stosunku do poprzednich wystaw liczba uczestników nie przyniosła tej prezentacji wyższego poziomu. Była

to, niestety, wystawa trochę przypadkowo dobranych artystów i bez wyrazistej ideowej koncepcji – mimo tytułu pięknego i sprawdzonego wcześniejszymi prezentacjami.

„Dwie siostry, Germania i Polonia” to tytuł wystawy przygotowanej przez Regionalne Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych w Częstochowie w Kulturraum Ehemalige Synagoge w Altenkunstadt w Niemczech, której wernisaż odbył się 11 listopada 2007. W prezentacji biorą udział: Wojciech Ćwiertniewicz, Andrzej Desperak, Piotr Dłubak, Janusz Rafał Głowacki, Stefan Gierowski, Katarzyna Gołdyn, Łukasz Huculak, Paulina Karpowicz, Janusz Knorowski, Włodzimierz Kulej, Sabina Lonty, Jacek Łydzba, Darek Pala, Marian Panek, Szymon Parafiniak, Adam Patryk, Wojciech Prażmowski. Kuratorem wystawy jest ze strony polskiej Piotr Głowacki, a ze strony niemieckiej zapraszający wystawę Wojciech Kopciński, pisarz i reżyser teatralny, częstochowianin z pochodzenia. Wystawa zrobiła duże wrażenie na tłumnie zgromadzonej publiczności, która również mogła wysłuchać rewelacyjnego minikoncertu na bębnach Piotra „Jacksona” Wolskiego.



Janusz Rafał Głowacki przygotował w Konduktorowi indywidualne wystawy malarstwa pt. „W poszukiwaniu pierwowzoru – mitologia pierwowzoru wewnętrznego”. To poszukiwanie artysta określa jako podróż w głąb siebie i jest ono dla niego powrotem do malarstwa metaforycznego. Poszukuje w sobie świadomości dziecka zobrazowanej przez człowieka dojrzałego. Przedstawia więc pierwowzory własne, swoje i osobiste. Najważniejszym z nich jest pierwowzór przemijania, swoistej malarskiej refleksji nad zjawiskiem, jakim jest życie, które w swym pa-

radoksalnym wymiarze zawsze otwarte jest na unicestwienie i śmierć. Natomiast pierwowzór przestrzeni ujęty jest w pudełko wyobraźni lub braku tejże w ostrzeganiu lub wyobrażaniu jej. Sam artysta w swych najnowszych pracach odchodzi od mocnego koloru, kontrastowych malarskich duktów i pasaży. Jest mimo to ekspresyjny ekspresją walorowych ekranów w rozbudowanej materii faktury, swoistym jej światłem. A w sensie treści zawartych w tych kompozycjach filozoficzny, ale też uteatralizowany dialogiem z samym sobą i widzem.



Janusz Rafał Głowacki – *Niebieski dylemat w pudełkach braku wyobraźni*

Oglądał Marian Panek

Chopinowi Jerzy Duda Gracz

7 listopada trafiła do częstochowy wystawa *Chopinowi Jerzy Duda-Gracz*.

To ostatni wielki cykl obrazów Jerzego Dudy-Gracza (1941-2004), z których każdy inspirowany jest kolejnym utworem Chopina. Praca trwała cztery lata, od 1999 do 2003 roku. W tym czasie powstało 295 prac (więcej niż utworów Chopina, gdyż są

wśród nich dyptyki, tryptyki i poliptyki). Etiudy, Pieśni i Preludia namalowane są akwarelą, jako utwory „łżejsze” – szkicowe, pozostałe zaś w technice olejnej. Wystawa pokazuje niezwykle związki i przenikania różnych dziedzin sztuki - muzyka Chopina jako inspiracja dla artysty malarza i jako pole do nowych interpretacji i wizji plastycznych.

Pierwszy pokaz obrazów *Chopinowi* odbył się jesienią 2005 w salach Teatru Wielkiego – Opery Narodowej w Warszawie, z okazji odbywającego się w tym samym czasie XV Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego; wcześniej fragmenty, w postaci ekspozycji multimedialnej, pokazano w ramach narodowej prezentacji podczas Światowej Wystawy EXPO 2005 w Japonii.

Miejska Galeria Sztuki jest jednak miejscem szczególnym - Jerzy Duda-Gracz, jeszcze w czasie pracy nad cyklem, wyraził intencję, by tu właśnie odbył się pokaz tej wystawy.

Uświetnia też ona jubileusz 30-lecia Miejskiej Galerii Sztuki w Częstochowie. (ram)



Trio fortepianowe g-moll op. 8

Premiera

Nowonarodzony

Łukasz Wylężałek jeszcze raz udowodnił, że potrafi pisać bardzo dobre teksty. Takim tekstem jest scenariusz do spektaklu „Nowonarodzony”, którego premiera odbyła się 14 listopada 2007 r. w ramach Międzynarodowego Przeglądu Przedstawień Istotnych „Przez dotyk” w Teatrze im. A. Mickiewicza w Częstochowie (nazwa przeglądu, mimo intrygującego i prowokacyjnego brzmienia, jest dotkliwie bez sensu). Autor scenariusza, znany przede wszystkim ze swych znakomych filmów „Balanga” czy „Darmozjad polski”, pokusił się tym razem o napisanie panoramicznej opowieści, bardzo osobistej i bardzo gorzkiej o Polsce, jej historii, Polakach, rodzinie.

Rzeczywistość opowiadana przez Wylężałka widziana jest konsekwentnie aż do bólu w mocno krzywym zwierciadle nie tylko własnych, ale i społecznych odczuć. Jest to właściwie wielki monolog, ironiczna relacja ze schizofrenicznego bytu naszego narodu przez ponad sto ostatnich lat – również naszych najbliższych i nas samych. Wylężałek rozbudowuje wielką wieżę Babel różnorodnych postaci, ludzi, bohaterów swoich czasów. Robi to ze znanstwem, bardzo trafnie, syntetycznie określając ich osobowości, charaktery i właściwości. Przywołuje znane powiedzonka, dowcipy, dykteryjki. Język opowieści jest nasycony, różnorodny i barwny. Możemy się śmiać do łez, by chwilę później zostać zmrożeni jakimś traumatycznym fragmentem tekstu. Wylężałek mocno punktuje nasze narodowe wady, pełny worek różnorodnych kontekstów, wynikających z zaściankowego, pokrętnego myślenia.

Wielką kreację stworzył w roli Bohatera-narratora Michał Kula. Zagrał porywająco, pokazując swoje olbrzymie aktorskie możliwości. Jego grze towarzyszyły wielkie emocje. Pokazał całą amplitudę różnorod-



Fot. Piotr Dhubak

nych ekspresji aktorskich. Zagrał ekspresyjnie, impulsywnie, brawurowo. Można powiedzieć, że akompaniowali, przygrywali mu - w trochę niejasnych i nie do końca wyartykułowanych rolach - Adam Hutyra i Marek Ślosarski. Nie stanowiły ich postaci wyraźnego nawiązania do chóru z tragedii antycznej – jak to było u Różewicza w „Kartoteczce”. Trochę przypominali aniołów stróżów, trochę byli sumieniem Bohatera, trochę prowadzili oboczną, równoczesną, ruchową i słowną, narrację w spektaklu.

Scenografię stanowił przystanek autobusowy i trzy sztuczne choinki, jedna ze złamanym szczytem. Bowiem „Nowonarodzony” osadzony jest w przestrzeni naszych wyobrażeń o cudownym nastroju Bożego Narodzenia. Ta świąteczna aura i „stan wskazujący na spożycie” powoduje w Bohaterze szereg nostalgicznych wspomnień o wigiliach z jego życia. Wszystkie te, nakładające się na siebie, wigilie stają się bardzo osobistym widzeniem przebiegu historii, wpisanym w zmieniające się uwarunkowania społeczne i polityczne. Były

one wyświetlone na czymś, co nosi zwykle w teatrze nazwę horyzontu. Ten symboliczny horyzont historii był też poprzecinany dwiema drabinami wziętymi z młodopolskiego ducha obrazów Jacka Malczewskiego – ot, taki postromantyczny cytat, że każdemu należy się własna drabina.

Muzyka w spektaklu nie przeszkadzała. To dla niego i dla niej było dobre. Towarzyszyła zgrabnie akcji, podnosząc jej dramaturgię i wybrzmiewając czasami specjalnie nieharmonijnie. Autorem dźwiękowej przestrzeni spektaklu jest znany częstochowski muzyk jazzowy Janusz „Yanina” Iwański.

Całość widowiska zrobiła na premierowej publiczności wielkie wrażenie. Jest to spektakl odważny, kompletny, autorski i bez wątplenia warty „zaliczenia”. Myślę, że stanie się on dla młodzieży teatrem kultowym, rozbudowującym historyczną osobistą pamięć.

Marian Panek



... DO OJCA ...

to interesująca propozycja częstochowskiego teatru. Monogram oparty na mało znanym tekście Franza Kafki. „List do ojca”, napisany w roku 1919 a opublikowany dopiero po śmierci autora, to przejmująca opowieść o relacjach ojca z synem, o toksycznym wpływie jednego człowieka na drugiego.

Częstochowskie przedstawienie zrealizowali: Gabriel Gietzky (scenariusz i reżyseria), Dominika Skaza (przestrzeń sceniczna), Łukasz Jaworski (muzyka).

Chwalimy przede wszystkim wykonawcę - Bartosza Kopcia, młodego aktora naszego teatru, dotąd widzianego raczej w lżejszym repertuarze. Będą z niego ludzie!

Przy okazji: cudze chwalicie, swego nie znacie... Kto opisze (i wystawi) równie wstrząsające relacje między Franciszkiem Malewskim (bliskim przyjacielem Adama Mickiewicza) a jego ojcem, rektorem Uniwersytetu w Wilnie? Zachowało się wiele listów ojca i syna. Wieje z nich grozą, absurdem, tragedią. I literaturą.



Fot. Piotr Dłubak



Janusz Mielczarek

GAGATKI Z JUBILATKI

Nie byłem świadom, że moja buda - „Sienkiewicz” - liczy sobie aż 145 lat; dowiedziałem się o tym na zjeździe absolwentów we wrześniu tego roku. Poprzednia moja bytność na tego rodzaju uroczystości miała miejsce 16 października 1965 roku. Szedłem pełen obaw, jak to będzie wyglądało teraz, czterdzieści dwa lata później. Ale chłopcy, którzy się odliczyli, aż 11, najwięcej ze starszych roczników, fason trzymali całkiem, całkiem. Najwięcej było pytań o nieobecnych, jednak najważniejsze okazały się wspomnienia o nauczycielach. Robiliśmy im czasem perfidne i wcale nieśmieszne figle, za które, niestety, nie można już przeprosić. A oni, choć kochani, byli niepoprawni, próbując rozniecić w naszych mózgowicach „kaganek oświaty”.

Czasy były wszawce (początek lat pięćdziesiątych), nauczyciele wspaniali, a my – przynajmniej wielu z nas – infantylni, łącznie z niżej podpisanym. W klasie X i XI gnieździł się (ponad 30 uczniów) w małym pomieszczeniu na końcu wschodniego korytarza szkoły na I piętrze, za ubikacjami. Ławki starego typu (pulpity połączone z siedziskami) stały tak blisko siebie, że ledwie przeciskaliśmy się między rzędami. Chciałbym wspomnieć dwa epizody, o których, jak wiem od znajomych, długo jeszcze krążyły opowieści, stały się one nawet szkolną legendą.

Obydwa zdarzenia miały miejsce wiosną 1953 roku, przed maturą. Do pierwszego pchnął nas strach, jaki towarzyszył tzw. „szwedzkim” klasówkom z historii u prof. Chłapa. Polegały one na pisemnym odpowiadaniu na stawiane przez nauczyciela pytania, z reguły w odstępach dwóch, trzech minut. Wystraszeni, ale nieskorzy do przemęczania się nauką, główkowaliśmy, jak zdobyć pytania na tę sądną chwilę. Akcja wykraczała poza zwykłe uczniowskie figle, ściśle tajne tematy mieliśmy dzień czy dwa przed klasówką. Pewnie by się sprawa nie wydała, gdyby nie jeden z kolegów, który miał „gotowca”. Tak dalece zapamiętał się w roli, że sięgnął do napisanej na podmianę pracy jako do ściagi. Dostrzegł to podejrzewający jakiś „numer” nauczyciel, przerwał klasówkę i zrobiło się groźnie. Kilka

dni później wzywani byliśmy kolejno przed oblicze face-ta z UB, w czarnym, skórzanym paltocie, który straszyl, pytał o prowodyrów akcji wykradzenia tematów i zadawał jeszcze wiele innych pytań. Z tego, co pamiętam, nikt „farby” nie puścił.

Drugie wydarzenie związane było z podpaleniem szkoły. Załatwialiśmy przy drzwiach zamkniętych porachunki z kolegą, który po raz pierwszy i jedyny w historii klasy poszedł na skargę, gdy tymczasem Tadeusz Żyła, klasowy żartowniś, w czasie tych autentycznych napięć strzelał na prawo i lewo z zapalek sztormowych (zapalki z większą ilością „siarki”, dłużej się palące). Ponieważ w klasie nigdy nie było kosza na śmieci, wszelakie papierzyska i Bóg wie co jeszcze, lądowały we wnęce za piecem kafłowym. Tam też zaczęło się palić. Najpierw zarządzono zamknięcie okien, żeby dymu nie dostrzegł nikt z Alei. Próby samodzielnego gaszenia okazały się bezowocne. Trzeba było otworzyć okna, żeby się nie podusić. Ktoś pobiegł po woźnego. Ten przeraził się rozmiarem ognia, przyniósł łom i żelazne haki, którymi pomagaliśmy mu rozbić ścianę w piecu, aby wygarnąć na podłogę – całą w wodzie od prób naszego wcześniejszego gaszenia – wszystko, co się paliło. A znajdowały się tam same cymeszy: wojskowa maska gazowa, zaginione niegdyś trampki i tenisówki, dwie czapki szkolne (był obowiązek ich noszenia), drewniany piórnik, krawat na gumce, no i papiery, papiery, papiery. Oczywiście, wszystko „zapaliło się samo”. Wkrótce potem, odbierając świadectwo maturalne, trzeba było uiścić opłatę za remont klasy, ówczesne 40 lub 50 zł od osoby.

W jaki sposób aż pięć nazwisk spośród tej „zgrai” znalazło się w biogramach wychowanków „Sienkiewicza” w monografii szkoły wydanej na jubileusz? Ale to kolejna sprawa dla śledczych. A może jeszcze jeden numer XI A?



Na fotografii widnieje XI A po feralnej klasówce z historii

JUBILEUSZ

90 LAT BIBLIOTEKI PUBLICZNEJ



Gratulacje i życzenia dla wszystkich bibliotekarzy składa na ręce dyrektor BP, Ewy Derdy, prezydent Częstochowy, Tadeusz Wrona



Życzenia i książki od Jana Malickiego, dyr. Biblioteki Śląskiej, odbierają Ewa Derda i Beata Grzanka

Biblioteka Publiczna im. dr. Władysława Biegańskiego powstała w roku 1917 – wcześniej, niż Biblioteka Śląska w Katowicach (1924) i Biblioteka Narodowa w Warszawie (1928).

Została ufundowana jako trwały pomnik pamięci po Władysławie Biegańskim (1857-1917), wybitnym uczonym polskim - lekarzu, logiku, etyku, działaczu społecznym - całe życie związanym z Częstochową.



Zasłużeni bibliotekarze i pracownicy BP zostali uhonorowani Nagrodami Prezydenta Miasta Częstochowy. Na zdjęciu, od lewej strony p. Pilarska-Paciernik, Grażyna Włodarczyk, Jolanta Wolańska, Anna Woźnicka-Wójcik. Na fotografii nie widać Małgorzaty Kluczej - wł.

Idea bibliotek publicznych, bezpłatnych i dostępnych dla każdego, wywodzi się jeszcze ze starożytności. W Polsce pierwszą bibliotekę tego typu założyli bracia Załuscy w roku 1747. Biblioteki publiczne pełniły niezwykle ważną rolę – edukacyjną, kulturotwórczą - zarówno w okresie zaborów, jak i w okresach wolności. Spełniają ją i teraz.

Biblioteka Publiczna w Częstochowie składa się dziś z 25 placówek na terenie miasta, z których korzysta stale 60 tysięcy mieszkańców naszego miasta. W ciągu roku



Obecni na widowni teatru bibliotekarze mieli możliwość obejrzenia premierowego spektaklu „Doktor Biegański”

Biblioteka Publiczna wypożycza czytelnikom do domów 1 milion książek, ponad 400 tysięcy udostępnia w czytelniach, udziela blisko 100 tys. informacji. W imprezach kulturalnych organizowanych przez placówki biblioteczne bierze udział rocznie prawie 10 tys. uczestników.

Czy jest za co chwalić Jubilatkę? Jest. Uczy, wychowuje, pomaga, dokształca. Dostarcza wiedzy, rozwija zainteresowania, zapewnia relaks i odpoczynek. Daje pożytek i przyjemność. Jest skarbnicą wiedzy i lecznicą duszy.

Obchody Roku Władysława Biegańskiego w naszym mieście zakończyły się galą w Teatrze im. Adama Mickiewicza - Biblioteka Publiczna im. dr. Władysława Biegańskiego świętowała swój jubileusz 90 lat istnienia.

Święto Biblioteki było też świętem bibliotekarzy. Przy wypełnionej sali składano życzenia i podziękowania, wręczano odznaczenia, nagrody i kwiaty. Oraz oczywiście książki.

Nieważne, jaką formę ma dzisiaj książka i jaką będzie miała w przyszłości – papierowego kodeksu, audiobooka, pliku mp3, e-booka – zawsze będzie znajdowała się przede wszystkim w bibliotekach.

Dla pożytku publicznego. Dla pożytku każdego z nas.



*trony pana prezydenta: Ewa Derda, Małgorzata Jakubowska, Anna Knysak, Urszula Lizura, Lidia Mikulska, Henryka Moryń, Bożena
nej - właśnie stoi przed mikrofonem...*

Fot. Zbigniew Burda

**Dzieje Biblioteki Publicznej
im. dr. Władysława Biegańskiego (IV)
Samorządowa instytucja kultury
1999 - 2007**

Rok 1999, pierwszy rok działalności Biblioteki Publicznej im. dr. Władysława Biegańskiego w systemie miejskich instytucji kultury, nie zapowiadał się zbyt dobrze.

Liczne niedociągnięcia legislacyjne związane z radykalnymi zmianami w obrębie struktury administracyjnej kraju, przyczyniły się do sporego zamieszania w funkcjonowaniu zdegradowanych bibliotek wojewódzkich, pozbawionych nagle państwowych dotacji. Beztróskie przekazanie tych placówek jednostkom samorządu terytorialnego miało nikłe związki z jednoczesnym zapewnieniem niezbędnych na ich utrzymanie środków finansowych. Tak też się stało w Częstochowie. Władze samorządowe miasta, postawione praktycznie przed faktem dokonanym, nie były w stanie – przy złożonych przecież procedurach finansowych – zwiększyć z dnia na dzień wydatków budżetowych. Gorączkowo konstruowane plany zakładały czarny scenariusz likwidacji wielu placówek filialnych, ograniczenie godzin urzędowania pozostałych, zwolnienia personelu i całkowity brak dopływu nowości wydawniczych. Część z tych przewidywań miała się niestety później potwierdzić. Ale bilans strat nie był aż tak duży, aby grozić załamaniem czytelnictwa. Przy dobrej woli i zaangażowaniu wielu ludzi, udało się zachować pełną sieć funkcjonujących w granicach miasta bibliotek publicznych. Dokonane zostały wprawdzie niewielkie korekty, ale polegały one na łączeniu placówek (np. dziecięcej i dla dorosłych) usytuowanych w bezpośrednim sąsiedztwie. Ostatecznie sieć po korektach obejmowała Bibliotekę Główną oraz 24 dzielnicowe placówki filialne. Nieco gorzej wyglądały sprawy kadrowe. Konieczne stało się zmniejszenie zatrudnienia o 30 etatów. Odeszły więc osoby posiadające uprawnienia do świadczeń emerytalnych, a część pracowników musiała się pogodzić ze zmniejszeniem miesięcznego wymiaru czasu pracy. Zdecydowanie złą była sytuacja w zakresie uzupełniania bibliotecznych zbiorów. Zakup nowości wydawniczych w ciągu całego roku, to zaledwie 3 tys. książek. Tyle samo pozyskano w formie darów od czytelników i zaprzyjaźnionych sponsorów.

Wbrew tym wszystkim niekorzystnym zjawiskom, poziom czytelnictwa w tak trudnym roku nie obni-

żył się, a nawet lekko wzrósł (z 24% do 25% ogółu mieszkańców). W liczbach bezwzględnych, korzystało wówczas z bibliotek ponad 65 tysięcy czytelników. Charakteryzowali się oni sporą aktywnością, wypożyczono im bowiem w ciągu roku blisko 1.200 tys. woluminów.

Kolejne lata, to okres stopniowej stabilizacji finansowej i dochodzenie do normalności we wszystkich podstawowych parametrach charakteryzujących biblioteczną działalność.

W ciągu kilku ostatnich lat Biblioteka ugruntowała swoją kulturotwórczą rolę, tak istotną dla wielu mieszkańców miasta i regionu. Stan czytelnictwa ulega wprawdzie okresowym wahaniom (głównie w wyniku zachodzących procesów demograficznych) ale zamyka się w przyzwoitych granicach 23-25% użytkowników bibliotek w stosunku do ogółu mieszkańców. Także aktywność czytelnicza utrzymuje się na dość wysokim poziomie: 1.200 - 1.300 tys. wypożyczeń w każdym roku.

Zdecydowanie wzrosła funkcja edukacyjna placówek bibliotecznych. Wśród stałych czytelników dominuje studiująca i ucząca się młodzież (50-60% ogółu). Czytelnicy ci korzystają z pozabeletrystycznych zbiorów bibliotecznych a zaspokojenie ich potrzeb poznawczych stało się priorytetem pracowników bibliotek.

Zasadniczym składnikiem bibliotecznych zbiorów pozostają oczywiście wydawnictwa książkowe. Ale dla właściwej obsługi czytelniczej konieczny jest systematyczny dopływ nowości wydawniczych. W ciągu ostatnich paru lat widać wyraźny postęp w tym zakresie, bowiem każdego roku przybywa od 10 do 13 tysięcy woluminów. W końcu ubiegłego roku wszystkie biblioteki publiczne wchodzące w skład sieci miejskiej, dysponowały łącznie 670 tysiącami tomów. Ponad 30% tych zbiorów stanowi literatura naukowa i popularyzacyjna. Do dyspozycji czytelników pozostaje także bogaty zestaw blisko 400 bieżących tytułów dzienników, czasopism ilustrowanych i specjalistycznych periodyków oraz wieloletni zbiór roczników tego typu wydawnictw. Uzupełnieniem tej oferty są tzw. zbiory specjalne, głównie w postaci nagrań dźwiękowych i wizualnych (płyty i kasety, w tym tzw. „książki mówione” czyli nagrania tekstów literackich). Materiały te zgromadzono w pokażnej ilości 40 tys. jednostek. Stałą troską dyrekcji Biblioteki są codzienne warunki obsługi czytelniczej. Wszak bezpowrotnie minął czas, że placówki biblioteczne lokowano w „piwnicznych izbach” a książki okładano w szary papier. Mimo tak znacznej ilości filii bibliotecznych, ich warunki lokalowe z każdym rokiem ulegają mniejszej lub większej

poprawie. Czytelnicy Biblioteki Głównej na pewno pamiętają nieodległe czasy, kiedy w pomieszczeniach wypożyczalni i w czytelniach z trudem można było przebywać latem, zwłaszcza w okresach silnego nasłonecznienia. Ten uciążliwy koszmar zniknął po zainstalowaniu w budynku urzędów klimatyzacyjnych. W ostatnich 5-6 latach remonty nie ominęły praktycznie żadnego z bibliotecznych lokali. Niektóre z placówek całkowicie zmieniły swoją lokalizację. I tak, placówka filialna w dzielnicy Zawodzie używała obszerne, funkcjonalne pomieszczenia w nowym bloku mieszkalnym. Filię przy ul. Św. Barbary przeniesiono z obskurnych pomieszczeń w kamienicy czynszowej do przeszklonej sali w budynku Szkoły Podstawowej. Placówka w dzielnicy Wyczerpy usytuowana na absolutnym odludziu, trafiła wreszcie do centrum osiedla mieszkaniowego. Skończyła się także ciasnota lokalowa biblioteki na Starym Mieście, której oddano w użytkowanie przylegające pomieszczenia.

Funkcjonalność placówek to także nowoczesne wyposażenie, głównie techniczne. Niezastąpionym urządzeniem bibliotecznym stał się, jak w wielu innych dziedzinach, komputer. Biblioteka Główna wykorzystuje wiele jego walorów. Istniejąca tu sieć lokalna umożliwia elektroniczną rejestrację udostępnianych zbiorów a także pozwala znacznie usprawnić dość złożony proces katalogowania nowych nabytków. Najważniejsze dla czytelnika są jednak możliwości informacyjne. Stwarza je zarówno wewnętrzna baza całego księgozbioru Biblioteki Głównej, jak i dostęp do globalnej sieci internetowej. W tym celu powstała dla czytelników pracownia internetowa oraz indywidualne stanowiska bezpośredniego dostępu do bibliotecznej bazy danych. Koszty związane z wprowadzeniem techniki komputerowej – zakup urządzeń i odpowiednich programów – są jednak na tyle wysokie, że w przypadku filii bibliotecznych proces ten przebiega bardzo powoli. Tylko Filia Muzyczna na Rakowie oraz biblioteki osiedlowe na Tysiącleciu i na Zawodzie dysponują dostępem do internetu oraz przygotowują, w oparciu o swoje księgozbiory, bazy danych konieczne dla usprawnienia działań informacyjno-bibliograficznych.

Statutowa działalność Biblioteki nie sprowadza się rzecz jasna wyłącznie do gromadzenia i udostępniania zbiorów. Szeroko pojęte zadania kulturalno-oświatowe obejmują różnorodne formy edukacyjno-wychowawcze, jak: spotkania autorskie, odczyty, prelekcje, konkursy, wystawy, lekcje i wycieczki biblioteczne, a także gry i zabawy dla dzieci. Tego typu imprez odbywa się w placówkach bibliotecznych każdego

roku około 500 z udziałem 12-15 tys. uczestników. Tradycją jest już aktywny udział bibliotek w ogólnomiejskich imprezach, takich jak Regionalne Dni Książki w Częstochowie, Noc Kulturalna, Biblioteka otwarta dla Ciebie czy też Ferie i Wakacje w bibliotece. Dla przykładu, do ciekawszych imprez w ciągu ostatnich lat, zaliczyć można spotkania autorskie: amerykańskiego pisarza Williama Whortona, pisarza alpinisty Andrzeja Wilczkowskiego, poetki Ludmiły Marjańskiej, polityka i alpinisty Janusza Onyszkiewicza, kapitana żeglugi wielkiej Zbysława Śmigalskiego, himalaistki Anny Czerwińskiej a także częstochowskich poetów Tadeusza Gierymskiego i Waldemara Gaińskiego.

Wśród prelegentów pojawiały się natomiast znakomite nazwiska profesorów częstochowskich uczelni: Marcelego Antoniewicza, Mariana Głowackiego, Andrzeja Zakrzewskiego, ks. Jana Związka, Zbigniewa Żmigrodzkiego.

Licznym udziałem młodzieży licealnej cieszy się organizowany od 14 lat Turniej Wiedzy, którego każda edycja poświęcona jest innemu zdarzeniu historycznemu bądź zjawisku literackiemu. Takich przykładów można by przytaczać jeszcze wiele, należą one bowiem do codziennych bibliotecznych praktyk.

Jest faktem bezspornym, że potencjał Biblioteki Publicznej im. dr. Władysława Biegańskiego stawia ją w rzędzie najefektywniejszych instytucji kultury na terenie miasta. Jak żadna inna, posiada ona rozległą sieć 25 placówek dysponujących łącznie 43 samodzielnymi agendami udostępniania zbiorów (wypożyczalnie, czytelnie, oddziały dla dzieci). Każdego dnia odwiedza te placówki od 2 do 3 tysięcy czytelników, którym udostępnia się od 5 do 6 tysięcy książek, czasopism, bądź innych materiałów bibliotecznych. Także każdego dnia głównie dzieci i młodzież, znajdują w tych placówkach swoje miejsce, aby rozwijać umiejętności i zainteresowania, uczyć się ale i bawić.

W dniach tak pięknego Jubileuszu należy życzyć Bibliotece, jej dyrekcji i pracownikom, a także nam wszystkim, czytelnikom, aby idee wielkiego filozofa, lekarza i społecznika doktora Władysława Biegańskiego znajdowały swój wyraz w kształcie i rozwoju kultury w XXI wieku. Aby ta zasłużona dla miasta i jej mieszkańców instytucja była intelektualnym drogowskazem, który mimo upływu 90 lat, nadal kształtuje ludzkie serca i umysły na miarę nowych czasów i innych już wyzwań.

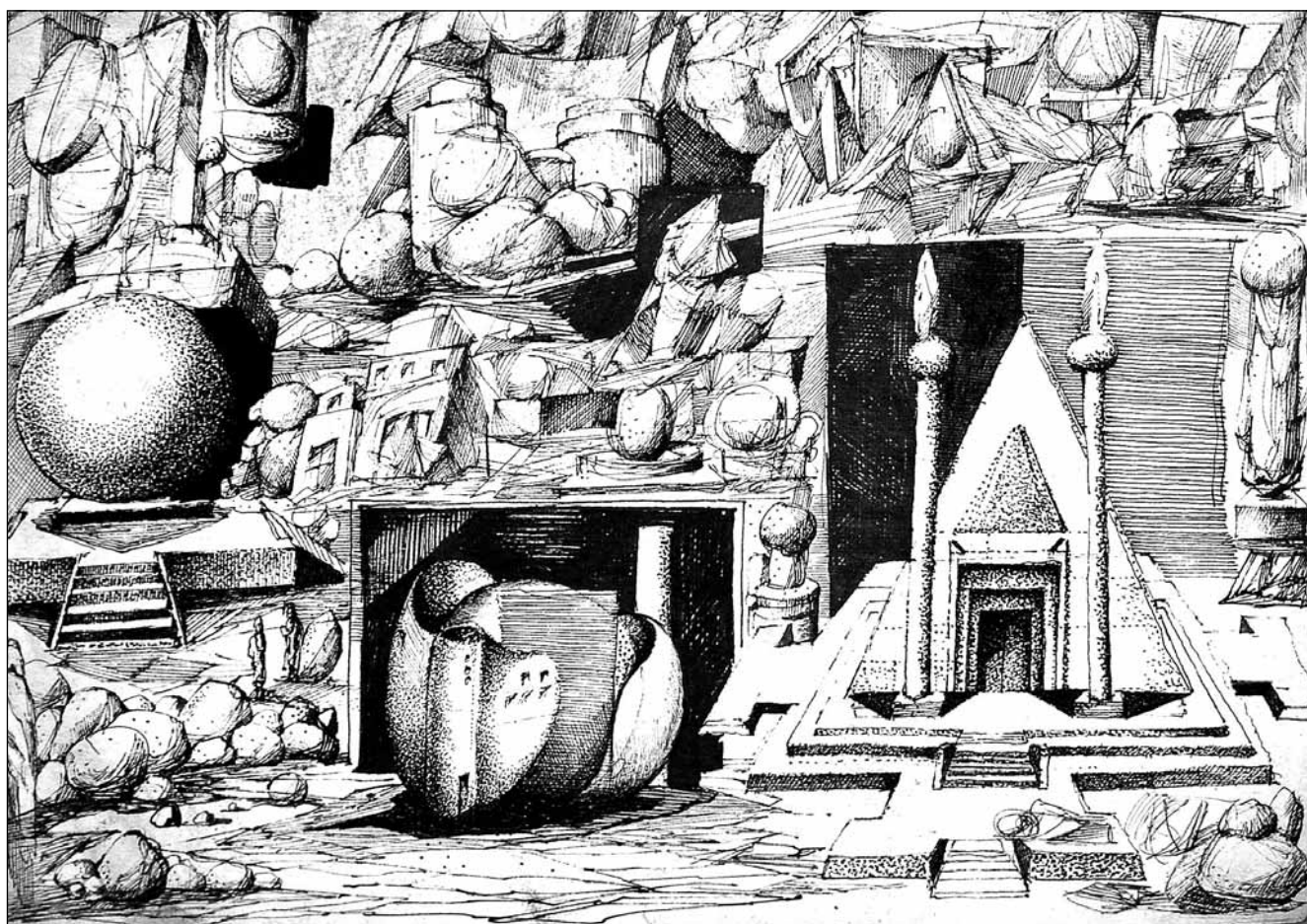
Bogdan Hennig

Odszedł Paweł Jarosz

Skromny i wrażliwy artysta, tworzący w zaciszu swojej pracowni głębokie metafizyczne wizje. Realizował prace malarskie i konserwatorskie w budowach sakralnych w kraju i za granicą. Szczupły, nieco przygarbiony, ze śniadą twarzą, rozwichrzonym włosiem i płonącym wzrokiem, zaczytany w lekturach mistyków. Ten wąty z pozoru człowiek, miał dłoń o uścisku imadła. Nic dziwnego, prowadził w pojedynkę prace renowacyjne w dużych budowach, a ławkowiec umoczony w farbie waży czasem kilka kilogramów. Były to zlecenia, które wykonywał z autentyczną pasją. Unikał rozgłosu. Sztuka dla Pawła była integralną częścią życia, medium w docieraniu do prawdy. Rysunki, które pozostawił w swojej pracowni, nie były kreślone na pokaz. Te kameralne wrażliwe i precyzyjne prace tchną wielką wrażliwością artysty. W jego wizjonerskich rysunkach piórkim, kredą lub ołówkiem odnaleźć można tropy fascynacji dawnymi mistrzami. Obok Leonarda, Dürera i Grunewalda inspirowali go również XX-wieczni surrealiści.

Choć nie miał w Częstochowie rodziny i mieszkał sam, nie stronił od ludzi – przeciwnie, miał uwagę dla problemów swoich przyjaciół. Miał zwyczaj wpadać niespodziewanie w odwiedziny, by zniknąć później na całe tygodnie bez śladu, by zaszyć się w świecie swoich intelektualnych, twórczych fascynacji. Ostatni raz odwiedził mnie siedem miesięcy temu, mieliśmy razem jechać do Indii wypróbowaną przez Pawła trasą: “Tupolewem” przez Rosję... (bałem się tego “Tupolewa”, opowiadał mi raz o dramatycznym zdarzeniu, które miało miejsce właśnie w Indiach). Bodajże gdzieś koło New Dehli do jednego z klasztorów chrześcijańskich miał namalować cykl obrazów, spalonych kiedyś w wyniku religijnych zamieszek wraz z częścią zabudowań klasztoru. 26 października bieżącego roku, po wyjściu z domu, zasłabł na schodach, pozostawiając w mieszkaniu porozścielane szkice i rysunki. Jakby przeczuwał, że rychło wybierze się w podróż, już nie do Indii, ale do świata przepelnionego miękkim, ciepłym światłem, jak z rysunków Leonarda...

Jacek Sztuka



Święty Wojciech

Niezbyt długa historia parafii i kościoła św. Wojciecha może być wprost przykładową ilustracją niektórych aspektów życia w PRL. Dziś, gdy w kilkudziesięciu nowych parafiach Częstochowy wzniesione zostały kościoły, trudno nawet zrozumieć tamtą sytuację i ograniczenia wynikające z panującej wówczas ideologii.

W rozbudowującej się Częstochowie powstawały osiedla bloków. Miały być socjalistycznym miastem bez kościołów. Skrajny przykład takiego podejścia stanowiła Nowa Huta. Ale i nasze Tysiąclecie nie odstawało od czołówki. Mieszkańcy, którzy chcieli uczestniczyć w niedzielnej mszy św., musieli jeździć do śródmieścia. Parafia św. Jakuba Apostoła rozrastała się niepomierne, więc decyzja o utworzeniu nowej parafii¹ była całkiem zrozumiała. Podobnie jak starania o budowę kościoła dla tej parafii, której nadano wezwanie św. Wojciecha, Biskupa i Męczennika. Ale nie dla wszystkich było to takie oczywiste. A już na pewno nie dla władz. I rozpoczęła się istna epopeja. Zapewne niezły sposób na konsolidację nowej parafii.

Na początek parafianie korzystali z sali w domu parafialnym św. Jakuba przy ul. Kilińskiego. Potem udało się dla potrzeb katechezy nabyć połowę starej kamienicy u wrót parafii. A przecież lekcje religii odbywały się wówczas w salkach parafialnych i w zajęciach uczestniczyło tu ponad 3000 dzieci i młodzieży.

Jednak władze miasta zagroziły temu osiągnięciu. Kamienica została przeznaczona do rozbiórki. I zaczęła się obrona. Całodobowe czuwanie parafian, msze i nabożeństwa majowe pod gołym niebem. Starania, pertraktacje, interwencje na szczeblu miejskim, wojewódzkim i centralnym, przy wsparciu biskupa częstochowskiego Stefana Bareły i biskupa Franciszka Musiela. Wszystkie te perypetie opisał szczegółowo we wspomnieniowej rozmowie z ks. Stanisławem Jasionkiem główny uczestnik i świadek tamtych wydarzeń, pierwszy proboszcz św. Wojciecha, ks. Józef Słomian. Podkreślił również zasługi swych współpracowników - wikariuszy i świeckich².

Warto tu przypomnieć postać Teresy Sosnowskiej. To były czasy, kiedy chleb z małej prywatnej piekarni był rarytasem. Pani Sosnowska w schludnym fartusku, z solidnym dwukołowym wózkiem wypełnionym wielkimi, chrupiącymi bochnami, tworzyła koloryt miasta. Do historii przeszły jej sposoby obrony przed nachalnością służb porządkowych. Miała swoje stałe miejsce na chodniku II Alei Najświętszej Maryi Panny, w pobliżu skrzyżowania z Aleją Wolności. Bywała też i gdzie indziej. Znakomity chleb dostarczała nawet urzędniczkom Urzędu Miejskiego a także ... Kolegium ds. Wykroczeń. Dziś, gdy modne stały się rzeźby uliczne (bardzo to sympatyczna moda), warto pomyśleć o takim upamiętnieniu tej charakterystycznej postaci częstochowskich ulic. Kobieta w chusteczce, z wózkiem pełnym chleba w II Alei, mogłaby z powodzeniem konkurować ze Starym Marychem, prowadzącym rower na poznańskiej starówce.

Ta barwna częstochowska postać miała też swoje zasługi w walce o kościół św. Wojciecha, w którą zaangażowała się całym sercem.



Fot. Leszek Pilichowski

ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY

W efekcie wspólnego, solidarnego oporu władze poszły na kompromis. Parafia przeniosła się do budynku na sąsiedniej ulicy, gen. Zajączka. Ale przed proboszczem i parafianami było jeszcze dzieło w aspekcie materialnym najważniejsze, a ściśle związane ze stroną duchową: wzniesienie świątyni. Proboszcz, pełen energii ks. Józef Słomian, nie ustawał w staraniach, zabiegach, pokojowej walce o nowy kościół. Widział go jako wielką bazylikę, która sprosta potrzebom nowoczesnej dzielnicy. Jego wysiłki zostały uwieńczone sukcesem. Budowa też nie była prosta, wymagała wiele starań, determinacji, umiejętności i sprytu - zarówno na etapie przygotowania terenu, jak i zdobywania materiałów i samego wzniesienia świątyni.

Projekt kościoła przygotował architekt z Krakowa, Antoni Mazur³. Budowla reprezentuje popularny wówczas, uzasadniany teologicznie, schemat kompozycyjny kościoła - namiotu, a przesunięte względem siebie trójkąty miały od frontu tworzyć litery M i A (od: Maria i Adalbertus). Jest dobrze wkomponowana w krajobraz, urozmaica osiedle pudełkowych bloków, szczęśliwie sąsiadując z terenami zieleni Promenady i małymi domkami ul. Brzeźnickiej, wzbogaca panoramę miasta, stanowiąc jeden z jej najbardziej charakterystycznych elementów. Zaś połączenie surowości betonu ze szlachetną zielenią spątnowanych dachów miedzianych daje interesujący i miły efekt wizualny.

Można powiedzieć, że kościół św. Wojciecha jest na swoim miejscu. Wdzięczne sygnaturki polskiego baroku, najzwyklejsze, najskromniejsze wiejskie kościółki - nie mówiąc już o arcydziełach drewnianej architektury sakralnej - wyrastają z polskiego krajobrazu i stanowią jego istotny, niezbywalny, ogniskujący element. W przeciwieństwie do nich kościoły tzw. nowoczesne często budowano bez liczenia się



Fot. Zbigniew Burda



ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY



ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY

z krajobrazem, niszcząc agresywnie działającą, obcą formą pejzaż wsi i miasteczek.

Wybudowany w dużym, rozrastającym się mieście kościół św. Wojciecha wrósł w miejski pejzaż. Widać to zarówno, gdy się do kościoła podchodzi - na szczęście jest zachowana odpowiednia wolna przestrzeń - jak i gdy panoramę miasta obserwuje się od jurajskich wzgórz Mirowa i przełomu Warty. To niebagatelna zaleta tego obiektu.

Wnętrze do niedawna przemawiało jednością przestrzeni, surowością szarego betonu, dziennym światłem w padającym przez duże, przecinające betonowe płaszczyzny okna, za którymi widać obłoki, błękit nieba i ptaki gnieźdzące się na zewnątrz, w zakamarkach ściany, wysoko nad ołtarzem. Komponowała się dobrze z tym charakterem wnętrza szlachetna prostota żyrandoli, a także rzeźby z surowego drewna. Całe jednorodne wnętrze było autorskim dziełem Antoniego Mazura. Tylko trochę nie wiadomo po co w tle ołtarza głównego umieszczono niedawno marmurowy płot.

Jest w człowieku potrzeba skupienia i przebywania w miłym, przytulnym wnętrzu. Można było te aspekty pogodzić, tworząc oddzielne, kameralne przestrzenie do indywidualnej modlitwy, ciszy, adoracji, gdzie człowiek nie czułby się zagubiony w wielkiej pustej przestrzeni. Tymczasem zapędy ulepszczy sięgnęły niedawno samej istoty rozwiązania górnego kościoła. Najwidoczniej uznano, że wnętrze jest niewykończone i przystąpiono do - jak to ktoś dobrze określił - makijażu świątyni. Ściany zostały pomalowane, oryginalne żyrandole zamieniono na błyszczące blichtrzem. A co najgorsze - pomalowano wczesne prace profesora Czesława Dźwigaja (ciekawe, czy za zgodą autora) - potężną figurę Ukrzyżowanego w ołtarzu głównym oraz stację Drogi Krzyżowej. Nie wiem, jak jest z prawami autorskimi w takich przypadkach - ale wiem, że polichromia nie wyszła tym rzeźbom na dobre. A żeby było jeszcze śliczniej, dodano przy ołtarzu adorujące anioły, całe złote. W tej samej konwencji, tylko jeszcze nachalniej i bardziej kiczowato, wyposażono kaplicę adoracji Najświętszego Sakramentu, przygłuszając złocistymi kłosami i winoroślami nawet monstrancję z hostią. Istny „małpi gaj z miotłami”, jak to określił architekt - twórca kościoła, gdy go spytałem, czy te zmiany nastąpiły za jego wiedzą i zgodą.

Z nowości coś dobrego można powiedzieć tylko o witrażu według projektu artysty malarza Bolesława Szpechta, w kaplicy adoracji Najświętszego Sakramentu. Przedstawia Ostatnią Wieczerzę. Uważam go za jeden z najciekawszych w Częstochowie. Warto podkreślić udane wkomponowanie w trudne podziały okien. Powstało dzieło mocne w wyrazie, jednorodne, działające formą i kolorem. Prawdziwy witraż! Zupełnie nie rozumiem, czemu, zamiast uczynić

z niego główny element wystroju, idealnie korespondujący z przeznaczeniem wnętrza przez odwołanie się do momentu ustanowienia Eucharystii i kierujący ku hostii w monstrancji - usiłowano zagłuszyć ten korzystny efekt, dodając na głównej ścianie owe miotły, same w sobie może i dobrze wykonane pod względem artystycznego rzemiosła, ale zupełnie tu nie na miejscu.

No i na korzyść trzeba jeszcze podkreślić, że w nowym wystroju uszanowano tryptyk Miłosierdzia Bożego, pędzla Aleksandra Markowskiego. Dzieło to, umieszczone w bocznym ołtarzu, ocieplało dawne surowe wnętrze. Łączy przedstawienie idącego w białej, świetlistej szacie Jezusa - twórczą interpretację pierwszego obrazu Jezusa Miłosiernego autorstwa Adolfa Chyły - ze scenami z ewangelicznych przypowieści o miłosiernym Samarytaninie oraz o synu marnotrawnym i miłosiernym ojcu. Ciekawe może być przypomnienie, że artyście do postaci z przypowieści pozowały konkretne osoby. Miłosiernym ojcem witającym powracającego syna, jest ojciec artysty, Kazimierz.

Warto jeszcze zauważyć, że obecnie zrezygnowano wreszcie z eksponowanych wcześniej na ścianie ołtarzowej haseł i styropianowych dekoracji, które, wbrew wyraźnym i nienowym zaleceniom władz kościelnych, puszą się niekiedy w kościelnych wnętrzach, nadając im charakter bardziej pierwszomajowych świetlic niż przestrzeni sakralnej.

Sympatyczne jest wprowadzenie do wnętrza żywych płomieni świec (dobrze, że to nie elektryczne lampki) na świeczniku przy ołtarzu Matki Boskiej Częstochowskiej. Zapalają je modlący się w swoich intencjach.

W kościele św. Wojciecha odbywają się co jakiś czas nabożeństwa pod przewodnictwem biskupów. Przykładem są liturgie Wielkiego Tygodnia, zwracające uwagę starannie wypracowaną formą, troską o piękno liturgii, włącznie ze śpiewem, który jest jej integralną częścią. Dobrze by było, gdyby ta troska o stronę muzyczną liturgii, tak bliska obecnemu Papięzowi, towarzyszyła niedzielnej mszy. Nie chodzi tu o solowe popisy, ale o doprowadzenie do wspólnego zharmonizowanego śpiewu zgromadzonych, niezagłuszanego - delikatnie to określając - głosem przez mikrofon. Tu nasuwa się problem szerszy, w skali miasta i diecezji - jakości śpiewu i muzyki instrumentalnej w kościele, doceniania roli organisty i właściwego sposobu wykonywania tej ważnej dla wspólnoty pracy, potrzeby chóru parafialnego, jego repertuaru i poziomu.

Skoro już mowa o stronie dźwiękowej - jakże piękne są carillony i kuranty! Aby się nimi zachwycić nie trzeba jechać do Gdańska, wystarczy posłuchać zegarów z wieży Jasnogórskiej, wygrywających

ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY

melodie pobożnych pieśni. Ale daje się zauważyć w tej dziedzinie niepokojące tendencja do tandetnych uproszczeń. Zamiast szlachetnych harmonii dźwięków dzwonów i dzwonek – puszcza się z głośników dudniące nagrania. Oczywiście, tak jest taniej. Prowadzi to jednak do zaśmiecania przestrzeni dźwiękowej miasta⁴. A gdy się nastawia ryczące głośniki, nie można mieć za złe ludziom, których te dźwięki drażnią – i to niekoniecznie z powodów światopoglądowych. Niepoważne jest w tej dziedzinie wytaczenie najcięższych armat, grożenie krytykom z amboiny, jak to miało miejsce u św. Wojciecha. Trzeba po prostu rzecz zrównoważyć, nie przesadzać i dbać, jak zawsze, o jakość. Miła – i mająca walor świadectwa – jest melodia wielkanocnej pieśni lub Apelu Jasno-górskiego, unosząca się nad miastem.

Charakteryzując, choćby w sposób bardzo skrótowy i niepełny, życie parafii św. Wojciecha, nie można pominąć kultuwanego tu zwyczaju nabożeństw fatimskich i procesji różańcowej ulicami parafii. Docenił to arcybiskup metropolita, przewodnicząc tym procesjom.

Z kościołem św. Wojciecha, oprócz zwykłego duszpasterstwa parafialnego, wiążą się ważne dziedziny duszpasterstwa specjalistycznego, Ksiądz Słomian jest znany także jako duszpasterz częstochowskiego rzemiosła. Przy okazji warto zauważyć, że bardzo to dobre, gdy proboszcz po przejściu na emeryturę może zostać w parafii i dalej pracować, ciesząc się szacunkiem następcy. A właśnie tak najwidoczniej jest w przypadku ks. prałata Słomiana.

W kościele św. Wojciecha mieści się od lat tzw. aula akademicka i centralny ośrodek duszpasterstwa akademickiego „Emaus”. Z czasem patronką auli i ośrodka obrano św. Edytę Stein, jej też poświęcono witraż. Z tym ośrodkiem jest związana działalność duszpasterzy akademickich: ks. Mariana Dudy, ks. Zgrzebnego, ks. Andrzeja Przybylskiego – obecnie pierwszego proboszcza personalnej parafii akademickiej p.w. św. Ireneusza w miasteczku akademickim – oraz ks. Marka Batora. Rekolekcje akademickie, niedzielne msze, spotkania, powszednie formy akademickiego duszpasterstwa – to oddzielny obszerny temat. Zapisał też ten ośrodek i kościół ważną i piękną kartę w dziedzinie kultury niezależnej, w latach osiemdziesiątych XX wieku, dzięki aktywności ówczesnego duszpasterza, obecnego rektora Instytutu Teologicznego, ks. prałata Mariana Dudy. Występowali tu m. in.: Halina Mikołajska, Ewa Skarżanka, Anna Nehrebecka, Mieczysław Voit, Piotr Szczepanik, Maja Komorowska, Stanisław Sojka; były spotkania z Krzysztofem Zanussi i Andrzejem Wajdą. Pokazywał swe rysunki Jacek Fedorowicz. Działała Galeria „W kacie”, zwana też Galerią Emaus. Tu wystawiali artyści częstochowscy, studenci kierun-

ku plastycznego Wyższej Szkoły Pedagogicznej oraz zaproszeni goście (m.in. prof. Wiesław Szamborski z warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, czołowy przedstawiciel „nowej figuracji”). Odbywały się wystawy indywidualne i zbiorowe. Na przykład Andrzej Desperak na wystawie związanej z Triduum Paschalnym przedstawił tu po raz pierwszy swój obraz, namalowany specjalnie z tej okazji, inspirowany Całunem Turyńskim. Obraz ten do dziś uważa za bardzo ważny w swej twórczości. Warto też przypomnieć wielką wystawę środowiska częstochowskiego „Rodzinny dom”, organizowaną przez Aleksandra Markowskiego, Wojciecha Skrodzkiego i Władysława Ratusińskiego. Zajęła ona wszystkie przestrzenie: dolny i górny kościół, aulę akademicką i przyległe sale. To historia wymagająca oddzielnego opracowania. Aleksander Markowski, jego ojciec Kazimierz i brat Stanisław, podobnie jak i niżej podpisany, pokazywali też tu swoje prace.

W obiekcie kościoła św. Wojciecha znalazło siedzibę Radio „Fiat” (do chwili przeprowadzki na ul. Ogrodową), Społeczna Szkoła Podstawowa i Gimnazjum Społeczne nr 1, punkt sprzedaży ziół leczniczych.

I wreszcie łączy się z tym miejscem także działalność częstochowskiej „Caritas”, której dyrektorem jest obecny, drugi proboszcz św. Wojciecha, ks. prałat Stanisław Iłczyk. Niezwykle ważna i potrzebna to praca, bowiem nie brakuje w naszym mieście ludzi, którzy zmuszeni są korzystać z darmowych stołówek, pomocy materialnej, pomocy żywnościowej czy noclegowni. W parafii w godzinach popołudniowych działa świetlica dla dzieci i – raz w tygodniu – punkt wydawania odzieży.

Proboszcz wykonuje tę pracę z inwencją i zaangażowaniem, o czym świadczy choćby niedawno zorganizowane z jego inicjatywy telewizyjne wydarzenie – wielki charytatywny koncert na Placu Biegańskiego, z udziałem znanych artystów, na fundusz pomocy poszkodowanym w wyniku trąby powietrznej w okolicach Częstochowy.

Władysław Ratusiński

¹ Kanonicznie parafię św. Wojciecha powołał biskup częstochowski Stefan Bareła dekretem z 20 stycznia 1969 r.

² Ks. Józef Słomian, *Święty Wojciech. Z historii zmagania o powstanie parafii i kościoła św. Wojciecha w Częstochowie*, Częstochowa 2005, Wydawnictwo Archidiecezji Częstochowskiej REGINA POLONIAE

³ Antoni Mazur zaprojektował później w Częstochowie inne jeszcze charakterystyczne betonowe obiekty sakralne: kościół Matki Boskiej Zwycięskiej przy ul. Słowackiego i kościół Serca Pana Jezusa (salezjanów) na Stradomiu, a także kaplicę - ołtarz w sanktuarium Miłosierdzia Bożego przy ul. Kordeckiego.

⁴ Zwracałem uwagę na ten problem w odniesieniu do kościółka Imienia Maryi w III Alei. Wystarczyłby tam srebrny dźwięk sygnaturki. Nic nie zastąpi dobrej jakości dzwonów – i wcale nie wszędzie muszą one być potężne.

Jakub Kasperkiewicz

Listopadowa melancholia

Trzydzieści...

Zabawa w chowanego. Z nikim konkretnym, bez imion i nazwisk. Z całym światem. Zaczął się listopad. Już pierwszy jego dzień świadczy o tym, jakim jest miesiącem. Spacer na cmentarz przy zimnym wietrze i liściach spadających z drzew, które pozostają nagie, raczej nie nastraja pozytywnie, przynajmniej mnie. Ale każdy rok jest inny.

Dwadzieścia dziewięć...

Trudno powiedzieć, na kogo to wszystko działa, ta cała aura. Czy tylko na wyjątkowo wrażliwych, czy może na wszystkich? A może wszyscy są wyjątkowo wrażliwi i tego nie pokazują, więc tak samo nie widać na ich twarzach listopada? Albo dopiero wtedy zaczyna na nich widnieć, kiedy nie ma nikogo w pobliżu, pozostają sami. Samotność w listopadzie nie jest najprzyjemniejszą rzeczą.

Dwadzieścia osiem...

W sumie to dobrze, że listopad ma tylko trzydzieści dni. O jeden smutny dzień mniej. Potem przychodzi grudzień. Przy złych wiatrach każdy jego dzień jest bardzo smutny. Wtedy mówimy: „Och, wspaniały, malowniczy listopadzie, gdzie jesteś?”

A on odfrunął gnębić ludzi w innej części kuli ziemskiej. Ciężka praca bez wytchnienia.

Dwadzieścia siedem...

Człowiek czasami nie zdaje sobie sprawy z tego, przez ile czasu i w jaki sposób można rozmyślać o miesiącu. Nie sądzę, żeby na przykład lipiec wzbudzał podobne emocje. Jest pięknie, słońce świeci, czasem popada, uczniowie mają wakacje. Wszystko wydaje się takie łatwe. A życie to seria wyzwań. Przynajmniej z zasady tak to wygląda. Listopad obfituje w wyzwania, ale tak się składa, że najczęściej biorą one początek we wnętrzu człowieka, który po prostu czasem przesadza. Wyolbrzymia. Ma do tego skłonności, to jedna z jego sztandarowych cech.

Dwadzieścia sześć...

Słynna „złota polska jesień” naprawdę jest piękna. Czasami można zaniemówić, kiedy patrzy się na te różnokolorowe liście miotane przez wiatr, przemierzające przestrzeń powietrzną, bądź szeleszczące na chodnikach i ulicach. I te огоłocone drzewa. Przed-

stawiają coś niewyraźnego, czego do końca nie da się ubrać w słowa. Na szczęście oczy umieją się tym widokiem wystarczająco nasycić.

Dwadzieścia pięć...

W dzieciństwie lubiłem bawić się w chowanego. Oczywiście nie przepadałem za szukaniem, wolałem się chować. Lubiałem ten dreszczyk emocji, który ogarniał ciało, kiedy tuż obok mnie przechodził szukający, nie zauważywszy mnie. Pamiętam, że było wiele przypadków oszukiwania przy liczeniu. Nie wiem, czy mnie się to kiedyś zdarzyło. Teraz na pewno nie mam zamiaru tego robić. Po co oszukiwać siebie?

Dwadzieścia cztery...

Zawiał przeszywający wichur, bardzo typowy jak na tę porę. Człowieka ogarnia zimno, ale jednak jest w tym coś... intrygującego.

Dwadzieścia trzy...

Jeżeli człowiekowi z nastaniem listopada zejda się jakieś sprawy emocjonalne, to ma prawo podejrzewać, że będzie to czas melancholijny i delikatnie, bądź nie, nakrapiany łzami. Szczypta soli zawsze się przyda.

Dwadzieścia dwa...

Mam ogromny sentyment do tego miesiąca. Bardzo go lubiłem, jak jeszcze byłem mały i inaczej patrzyłem na wszystko. Był dla mnie czasem magicznym, ale w zupełnie innym sensie niż teraz. Potem nastąpiły standardowe procesy w moim organizmie, hormony i tak dalej. Teraz stoję tutaj, a czas wymija drzewa, rosnące w okolicy, szybkim slalomem.

Dwadzieścia jeden...

Ale do listopada mam także sentyment z innego powodu. Urodziłem się w tym miesiącu, dokładnie dwunastego. Czasem wydaje mi się, że to data trochę bez wyrazu. Nie wiadomo, jak na nią patrzeć. Czy dziwna, bo jeden dzień po święcie narodowym, czy dobra, bo tak jemu bliska. Sam nie wiem. Czasem żartuję przed ludźmi, że święto narodowe jest tak naprawdę dwunastego listopada. Ależ mam ostry dowcip.

Dwadzieścia...

Coś ucichło. Teraz słyhać tylko szelest liści. Udręka sprząających. Ktoś się męczy, żeby ułożyć to wszystko w kupkę, a potem przyjdą dzieci i zrobią swoje. To najbardziej naiwny przykład „kreciej roboty”, jaki przychodzi mi do głowy.

Dziewiętnaście...

Pierwszy wyraźny plus, jeśli chodzi o listopad, to fakt, że na ten okres mam najfajniejsze ciuchy. Lubie

spacerować w marynarce i golfie zmarzniętymi ulicami. Wiatr we włosach też jest niczego sobie.

Osiemnaście...

W sumie... moje spojrzenie na ten miesiąc zostało chyba trochę spaczone. Poprzedni listopad sporo mnie nauczył. To był chyba jeden z tych mądrzejszych, który zadaje cierpienie, ale takie, z którego się coś wynosi.

Siedemnaście...

Można dojść do „wewnętrznej równowagi jesiennej”. Ale jest to stan bardzo niepewny. Posiadanie jej jest jak chodzenie po ostrzu brzytwy. Czasami wystarczy jeden gest, jedno słowo, jedno spojrzenie... Jeden dźwięk. I listopad znowu górą.

Szesnaście...

Kopnij mnie jeszcze raz, kolego. Smagnij wiatrem po twarzy. Już się ciebie nie boję. Tak mi się przynajmniej wydaje. Jestem gotów nawet na atak ukrytymi brońmi. Skutecznymi, które podobno zawsze działają. Na przykład deszczem, uderzającym o szyby. Trudno się temu oprzeć. Ale da się.

Piętnaście...

Ludzie są bardzo potrzebni. Towarzystwo. Towarzysze listopadowej niedoli. Człowiek z człowiekiem potrafią stworzyć niewidzialną barierę, od której odbijają się suche liście.

Czternaście...

Jesienią bardzo dużego znaczenia nabiera fakt, że zasympia się samemu. Cały dzień możesz spędzać z kimś czas. Z przyjaciółmi. Możecie się bawić, śmiać, nic sobie nie robić z aury, z czegoś niematerialnego, co czyha na człowieka. Ale kiedy idziesz spać, jesteś sam. Twoje ciało chroni ciepła pidżama i wełniane skarpety. Dusza jest naga.

Trzynaście...

Nie jestem przesądny.

Dwanaście...

Wszystkiego najlepszego.

Jedenaście...

Flagi łopoczą na listopadowym wietrze. Ze zwracaniem uwagi na te dwie rzeczy wśród ludzi jest różnie. Dla jednych ważniejsze są flagi, dla drugich wiatr. Zależy.

Dziesięć...

Ciemność. W listopadzie zmrok zapada szybko. Za szybko. Człowiek może się przekonać, że gwiazdy nie świecą tak bardzo, jak mogłoby się wydawać. Jeżeli wieczór zostanie podany w zestawie wraz z melodią kropel deszczu rozbijających się o szybę, strzeż się.

Dziewięć...

Nie wiem, czy to powszechne, ale mnie na przykład listopad zapładnia twórczo. Wtedy człowiekowi chce się coś tworzyć, wlewać w coś swoje emocje. To jest dobre, można się pozbyć trochę gorzkości. Nie jest to dużo, ale zawsze coś. Poza tym, zawsze coś ładnego i ciekawego może się z tego zrodzić. Z takiej listopadowej twórczości.

Osiem...

Ręce mi marzną, mogłem wziąć rękawiczki.

Siedem...

Tak, to czas, kiedy małe problemy stają się wielkimi, a wielkie ogromnymi. To jest coś w stylu „obowiązkowego czasu na rozmyślania nad swoim życiem i pochodnymi”. Jeżeli ktoś wcześniej nie znalazł na to czasu, to dobrze mu zrobi. A jeżeli znalazł, to jeszcze miesiąc mu nie zaszkodzi.

Sześć...

Kiedy listopad powoli zaczyna się kończyć, człowiek się cieszy. Co prawda w grudniu dzień jest jeszcze krótszy, a szarówka może być jeszcze bardziej dobijająca, ale opakowanie jednak ma znaczenie.

Pięć...

Ale kiedy się już skończy, to człowiekowi zaczyna czegoś brakować. Magii, niesamowitości i piękna. Tak jest zawsze. Na coś narzekamy, a potem się okazuje, że to coś było jednak całkiem niezłe i chcielibyśmy jeszcze. Obrastam w banały. Ale bez obaw - za rok też będzie listopad.

Cztery...

Jesienna miłość. Mój kolega się nieszczęśliwie zakochał. Powiedziałem mu, że jak do jesieni mu nie przejdzie, albo czegoś z tym nie zrobi, to będzie miał w głowie emocjonalną rewolucję. Jestem ciekaw, czy tak się stało, czy miałem rację, o ile mu nie przeszło. Nie, właściwie to jestem pewien, że miałem rację.

Trzy...

Długi weekend ze względu na Wszystkich Świętych zawsze służy osłodzeniu uczniom początku listopada. Niestety, w tym roku się nie udało. Przeżyję.

Dwa...

Co tu dużo mówić, jestem pod wrażeniem dzieła Boga, jakim jest listopad. Miał pomysł i wyobraźnię.

Jeden...

Szukam!

Aleksander Wierny

STYCZEŃ

(fragment większej całości)

Starać się zrozumieć nie rzeczy nowe, ale przez cierpliwość, wysiłek i metodę dojść do tego, że zrozumie się prawdy oczywiste całym sobą.

Blizni. Widzieć każdą istotę ludzką (obraz siebie samego) jako więzienie, w którym mieszka więzień, z całym wszechświatem naokoło.

Być tylko pośrednikiem pomiędzy nieuprawną ziemią i zaoranym polem, pomiędzy danymi matematycznego problemu i rozwiązaniem, pomiędzy białą stronicą i poematem, pomiędzy nieszczęśliwym, który jest głodny i nieszczęśliwym nakarmionym.

Często mówiłem, że w duszy jest pewna władza, która nie styka się ani z czasem, ani z ciałem; wypływa ona z ducha i pozostaje w duchu, i jest całkowicie duchowa.

Mówiłem już, że istnieje pewna władza w duchu, która jest wolna. Mówiłem niekiedy, że jest ona strażnicą ducha, czasami mówiłem, że jest światłem ducha; czasami mówiłem, że jest iskierką.

O czym nie można mówić, o tym trzeba milczeć.

Żeby odnaleźć źródła cytatów ze styczniowej części dziennika Sergiusza, musiałem przekopać jego bibliotekę. W mieszkaniu na poddaszu zgromadził tysiąc trzysta książek, część spoczywała na własnoręcznie zbitych przez Sergiusza regałach, reszta wałała się we wszystkich kątach ponadstumetrowego lokum. Magda, strażniczka tego królestwa chaosu, rozłożyła ręce z przepaszającym uśmiechem. Nie mogła mi pomóc.

Była zadowolona, że przyszedłem, choć starała się tego nie okazywać. Nie, nie szukała mę-

skiego towarzystwa – potrzebowała obecności kogokolwiek. Przed dwoma tygodniami, na początku marca, kiedy mrozy ustąpiły, a śnieg mieszał się z deszczem i w powietrzu można już było wyczuć zapowiedź zbliżającej się wiosny, Gros opuścił Magdę i nie wrócił. Nie odbierał telefonu komórkowego, nie przysłał listu ani e – maila, nie starał się uspokoić żony za pośrednictwem znajomych. Magda wyznała, że rozważyła zaalarmowanie policji, ale w końcu doszła do wniosku, że pozostawi sprawy własnemu biegowi, Sergiusz jest przecież dorosłym człowiekiem. Poza tym Gros najwyraźniej zaplanował ucieczkę - w dniu zniknięcia Magda znalazła na stole pokaźniejszy niż zazwyczaj stos banknotów.

Po kobiecemu bała się pustych przestrzeni w wielkim mieszkaniu. Kilkunastodniowa eksploatacja biblioteki Grosa, na którą z ulgą mi zezwoliła, pozwoliła jej po części uśmierzyć ten lęk.

Gdy rozpocząłem poszukiwania, problemów nie nastęrczyła mi tylko ostatnia fraza, zapamiętałem ją z czasów studiów dzięki zajęciom poświęconym filozofii języka. Zresztą, za sprawą tego właśnie cytatu zacząłem podejrzewać, że także pozostałe styczniowe notatki mają innego autora, niż Sergiusz.

„O czym nie można mówić, o tym trzeba milczeć.” Zamykam oczy i wracam do ławki w sali wykładowej. Ludwik Wittgenstein, „Traktat logiczno filozoficzny”, teza zamykająca dzieło, która zarazem bierze w nawias wszystko to, co filozof w nim wcześniej zawarł. Najpierw udowodniał, że język i rzeczywistość mają strukturę logiczną i dzięki temu możliwe jest stwierdzenie prawdy – za sprawą swego rodzaju logicznej zgodności między zdaniem a faktem. Wittgenstein wykluczył tym samym z sensownego dyskursu jakiegokolwiek rozważania o charakterze metafizycznym czy etycznym, które z natury nie poddają się zastosowanemu przezeń schematowi. Innymi słowy, odebrał znaczenie pytaniom o istotę człowieka, Boga, dobra. Wykładający nam te prawdy doktor (bujna broda, ciepła marynarka w drobną kratę, łaty na łokciach, nerwowe dłonie ciągle szukające czegoś w kieszeniach) zawiesił w tym momencie głos.

- O tym mówić nie można – powiedział grobowym tonem po chwili ciężkiego milczenia. – Jaki

można z tego wysnuć wniosek? Że odpowiedzi na najważniejsze dla nas pytania są od samego początku obarczone grzechem pierworodnym bezsensu, a jeśli nawet podejmiemy próbę ich sformułowania, weryfikacja takich tez jest niemożliwa. Nigdy nie będziemy mieć pewności.

Dzieło Grosa należało do dziedziny tego, o czym „trzeba milczeć”.

Poruszał się w niej bardzo sprawnie, ale zarazem nieustannie do swoich zwolenników przemawiał, co chyba jednak nie znaczy, że nie wierzył Wittgensteinowi. Używał języka jako poręcznego narzędzia, pozwalającego urzeczywistnić Dzieło, a nie jako probierza prawdy i fałszu. Dlaczego umieścił w dzienniku dewizę austriackiego filozofa? Myślę, że nie chciał się zapamiętać w krasomówczych sukcesach, broił się przed pychą, potrzebował kagańca, znał przemożną siłę swoich przemówień i bał się, że ulegnie pokusie wykorzystania mocy dla egoistycznych celów. Teza Wittgensteina miała mu przypominać, że uwodzenie słowem jest tylko środkiem, nie celem, a cel leży poza zasięgiem najkunsztowniejszych nawet figur retorycznych.

Odnalezienie źródeł kolejnych cytatów zajęło mi prawie dwa tygodnie. Nie jestem obeznany z filozofią, metafizyką i mistyką, więc biorąc do ręki kolejne tomy najpierw z grubsza sprawdzałem, czy tematyką odpowiadają zapiskom Grosa. Potem interesował mnie ich styl, nie treść. Miałem nadzieję, że w ten sposób szybciej dotrę do celu, ale nie jestem pewien, czy wybrałem dobry sposób. Wczytywałem się we frazy o zrozumieniu prawd oczywistych całym sobą, o istotach ludzkich jako więzieniach i o byciu pośrednikiem, szepcząc przyswajałem melodię i rytm języka, którym zostały napisane. Potem grzebałem w stosach książek, wyciągałem losowo wolumin, otwierałem na przypadkowej stronie i jeśli treść była choć odrobinę zbliżona do zapisanych przez Sergiusza fragmentów, zaczynałem głośno czytać. Jeżeli znalazłem podobieństwo, uważnie wertowałem każdą stronę.

W końcu trafiłem na właściwy tom.

Simone Weil.

Za pośrednictwem tekstów francuskiej filozofki Gros definiował relacje wiążące go ze zwolennikami sprowadzanymi z częstochowskich trotuarów. Znalazłem na poparcie tej teorii jeden,

lecz mocny argument: podsłuchane pod drzwiami wynurzenia klientki Sergiusza. Kobieta z wieżowca mówiła o wyzwoleniu z cierpienia, którego zaznała za sprawą Grosa; była przeświadczona, że Sergiusz poświęcił dla niej swoje ego, ztracił się w niesieniu pociechy; powiedziała też, że nie odkrywał przed nią wielkich prawd. Podobnie musiała się czuć Edyta, tak samo przeżywali spotkanie z Grosem Sebastian i Marek.

Najdłużej szukałem książki, z której pochodził przedostatni cytat i drugi fragment od końca: o całkowicie duchowej władzy w duszy oraz o iskiec, strażnicy ducha. Kolejne woluminy przynosiły rozczarowanie, w desperacji porzuciłem narzuconą sobie wcześniej metodę poszukiwań i po kolei przeglądałem wszystkie książki. Bez skutku. Pomógł mi przypadek. Gdy przemywałem w łazience strudzone czytaniem oczy, w lustrze zauważyłem, że zza pralki wystaje czarny trójkąt. Wytarłem starannie dłonie, osuszyłem twarz. Przyjrawszy się bliżej, poczułem, że fortuna wreszcie zaczęła mi sprzyjać. Czarny trójkąt był rogiem twardej okładki. Książkę wciśnięto pomiędzy lśniącą ścianę pralki i ścianę. Zanim wyciągnąłem ją z pułapki, bezgłośnie poprosiłem, żeby wolumin podarował mi rozwiązanie zagadki, którego z takim mozołem poszukiwałem. Szybko kartkowałem zniszczone strony. Po kilkunastu sekundach zorientowałem się, że moje życzenie zostało spełnione.

Autorem sentencji spisanych przez Sergiusza był Mistrz Eckhart, żyjący w średniowieczu niemiecki mistik.

Wnioski z tej części lektury nasuwały się z nieodpartą siłą. Sergiusz posłużył się cytatami Mistrza, żeby opisać swój stan ducha. Wierzył, że podczas wędrówki w głąb siebie dotarł do miejsca, które opisywał setki lat temu germański mistik. Znalazł najbardziej adekwatny opis wewnętrznego uniwersum. Skrzesał iskiec. Gros postrzegał siebie jako byt duchowy, jego królestwo nie było już z tej ziemi. A dokładniej: trzymał się naszej sfery egzystencji tylko na tyle, żeby werbować „gotowych” i przeprowadzać ich na drugą stronę.

Tak rozumiem Dzieło Sergiusza, tak pojmuję Przedsięwzięcie.

Janusz Piernikarski

Słownik Wielkiego Żranga

(*wyonacona heroic fantasy*)

Zmierzch zapadał nad łańcuchem gór, gdy w dolinę zeszedli czterej wędrowcy. Prowadzili dwa juczne muły i sami też byli nieźle obciążeni.

- Piękne są góry, mistrzu – oświadczył jeden, z łukiem przez ramię.

- Jeszcześ nie widział gór naprawdę wysokich – odparł mąż, który stał na czele wyprawy. Był on wysmukły, choć gruby kożuch i jaskrawoczerwone wełniane portki czyniły jego sylwetkę szerszą. Spod wełnianej czapki wyzierały czarne oczy, przenikające przez szkła umocowane rzemieniem na głowie. Rękę wspierał na czekanie.

Był to mistrz Makir z królewskiego uniwersytetu w Solmincis, a towarzyszyli mu żacy: Wulfguth, Howar (ów z łukiem) oraz Tuky.

Przed uczonym i studentami stało zadanie niepośledniej ważności. Któregoś razu rektor wezwał mistrza Makira, znanego w całym uniwersytecie ze śmiałości i tendencji empirycznych, i zlecił mu przedostanie się do starożytnego klasztoru Peleth, gdzie przechowywany jest *Słownik Wielkiego Żranga*, księga ogromnie rzadka. Wiele wieków temu uznano jej treść za niebezpieczną, egzemplarze w większości zniszczono i zdawało się, że zaginęła bezpowrotnie. Ponad miesiąc temu dziekan kolegium filologów zaczął snuć plany o zdobyciu *Słownika*, przechowywanego w Peleth. Filolodzy gotowi są „dla dobra literatury” uczynić znanym wszystko, co w dziejach ludzkości zostało napisane, i nie bacząc na konsekwencje, uruchomiliby natychmiast proces przepisywania *Słownika Wielkiego Żranga*. Skutków tego czynu lepiej sobie nie wyobrażać.

Braki w skarbcu uczelni nie pozwalały opłacić najemników, a już na pewno nie takich, którzy wiedzą, gdzie leży Peleth. Przeto wysłany został Makir, który uznał, że świeże górskie powietrze dobrze mu zrobi. Miał też nadzieję zdobyć bogate łupy i opłacić mieszkanie przynajmniej do wiosny. Po miesiącu podróży – morzem, drogami i bezdrożami – mistrz i uczniowie znaleźli się w górach. Wynajęli przewodnika, ale po tygodniu go odprawili, bo nie znał drogi. Na popasach Makir czytał

notatki do swego przyszłego dzieła *Opisanie świata całego a niektórych innych terytoriów*, a Wulfguth ćwiczył szermierkę. Howar polował i zbierał dzikie owoce. Tuky doglądał mułów. Byli zadowoleni, że nie muszą siedzieć na wykładach.

- Mistrzu, czy Wielki Żrang był potężnym magiem? – zapytał Howar.

- W swoim mniemaniu pewnie tak. Ale pamiętaj, że magów nie ma. Są może ludzie, którzy znają prawa natury lepiej od innych, ale zamiast dzielić się wiedzą, używają jej, by oszukiwać mniej kształconych.

- Więc czemu *Słownik* jest tak niebezpieczny?

- Ludzie myślą, że to księga niszczycielskich czarów. Ja jednak sądzę, iż zawierają się tam idee tak przewrotne, że udostępnienie jej szerszemu gronu mogłoby doprowadzić do upadku całej cywilizacji. Chodźmy więc i znajźmy *Słownik Wielkiego Żranga*, nim dziekan filologów położy na nim swe nieodpowiedzialne łapy!

W dolinie wędrowcy ujrzeli krąg ognia. Wokół płomieni przemieszczały się postacie o długich uszach. Z uniesionymi rękami na wpeł śpiewały, na wpeł recytowały jakiś hymn.

- Druidzi – zauważył Howar. – Złożą nas w ofierze!

- Nie trzeba poddawać się uprzedzeniom, uczniu – odparł Makir. – A może oni mają coś do jedzenia?

Wtenczas jeden z kapłanów, zasiadający na niskim tronie, zawołał: „Goście! W imię Ojca Ziemiaka i Matki Pszenicy, czujcie się zaproszeni!” Ekspedycja zbliżyła się do wielkiego ognia. Wewnątrz ognistego kręgu rosła kępa dorodnego żyta. Kapłani nosili długie, pasiaste szaty o rękawach tak szerokich, że każdy po odcięciu mógłby służyć za spódnicę. Nakrycia głowy miały kształt zajęczych głów, z uszami i wąsami powiewającymi na wietrze i z przednimi zębami tworzącymi nosal. Każdy druid wspierał się na lasce zwieńczonej czymś, co wyglądało jak kombinacja kilku narzędzi rolniczych, całkiem nieprzydatna do pracy na roli. Za to łeb można komuś rozbić, pomyślał Howar. Starszy, brodaty kapłan, jak się okazało, siedział na taczkach.

- Dawno nie mieliśmy tu gości – powiedział. – Zwłaszcza w okresie składania ofiar.

- A komu je zanosicie?

- Ojcu Ziemiakowi, Matce Pszenicy i innym, którzy nas żywią. Jesteśmy kultem agrarnym, jak memu pradziadowi mówili mnisi z klasztoru Peleth.

- O, właśnie. Szukamy tego klasztoru – zdradził się Makir. – Czy pokażecie nam drogę?

- Jest jedna ścieżka. Ale najpierw złożmy ofiarę! Goście mają pierwszeństwo.

Kilku druidów przyniosło płody rolne. Mistrz i studenci, wraz z innymi, uroczyście wrzucili je do ognia przy jednostajnych zaśpiewach. Howara dalej nie opuszczał niepokój.

- Chwała siłom żywiącym, Ojcu Ziemiakowi i Matce Pszenicy – przemówił arcykapłan. – Chodźmy się posilić.

Opodal znajdował się nakryty stół. Stary druid podał Makirowi róg z winem. Mistrz skosztował. Howar ze zgrozą patrzył, jak wykładowca robi krok do przodu, potyka się i niemal pada. Za plecami arcykapłana przemknął młodszy druid i podał mu wielki, zębaty nóż.

- Zakreśliło mi się w głowie – stwierdził Makir, nie dostrzegając niebezpieczeństwa. Howar energicznie rzucił się do przodu, ale krzepkie ręce chwyciły go pod łokcie.

- Piec chlebowy jest dla nas jak kaplica, spróbujcie więc świętego pokarmu – rzekł starzec i pokroił chleb. Uczony przyjął grubą kromkę.

- Ale byś nam wstydu narobił – Wulfguth ofuknął Howara i puścił go.

Po posiłku studenci i mistrz udali się do chaty gościnnej. Rano zdawało się, że muły przytyły przez noc, ale to sakwy stały się pełniejsze. Druidzi zaprowadzili ekspedycję na granicę osady, w stronę ścieżki do Peleth.

- Okazaliście większy szacunek dla Ojca Ziemiaka i Matki Pszenicy, niż to zwykle czynią cudzoziemcy – rzekł na pożegnanie starzec. – Przyjmijcie w podarunku bęben szamański naszego kultu agrarnego.

Wręczył uczonemu duży, płaski bęben, i pokazał właściwą drogę. Ścieżka była wąska i bardzo stroma. Okazało się, że dla mułów nie stanowi przeszkody. Tędy właśnie musiała ongi iść żywność do klasztoru. Mimo to wędrowka była tak ciężka, że i ludzie poruszali się na czworakach, a miejscami musieli ciągnąć muły za sobą. Tuły narzekał.

- Daj spokój, kolego – pouczał go Wulfguth. – Wolę taką wędrowkę, niż dysputę z mistrzem Iurco. Ten chłop jest okropny, a jego argumenty godne

opoja z tawerny na Czarnym Podgrodziu. Jak my skończymy studia?

- Jeden z moich profesorów – do rozmowy włączył się sam mistrz – mówił tak cicho, jakby sam do siebie gadał. Drugi miotał w czasie wykładu plugawe przekleństwa. Trzeci przez całe zajęcia gawędził o sprawach osobistych, a do rzeczy przechodził na koniec. Wszyscy oni – i cała reszta – mieli wadę wymowy. A jednak zostałem mistrzem. Zatem wy też wykażcie się nadludzką cierpliwością, a będziecie wielkimi uczonymi.

Wędrowcy wyszli na płaskowyż i znaleźli się wśród ruin klasztoru. W cieniu gór główny gmach i otaczające go budynki miały barwę ciemnego fioleto. Na wietrze łopotały strzępy chorągwi.

Makir rzucił się przeszukiwać gmach klasztoru. Był on tak wielki, że poszukiwania, nawet we czwórce, musiałyby zająć kawał czasu. W pomieszczeniach panował nieład. Jakichkolwiek bogów czczono tu dawniej, chyba już nie interesowali się klasztorem Peleth.

W którejś z rzędu zagraconej celi uczony zatrzymał się, by przyjąć systematyczną metodę poszukiwań, gdy przybiegł Tuły. Żak zaprowadził muły do szopy i znalazł korytarz. Uczony natychmiast pośpieszył tam. W kamiennym chlewie muły stały przy dawno nie używanych żłobach. Jedna z płyt ściany pękła, wskazując korytarz, owalny w przekroju i kręty jak jelito.

- Za mną! – krzyknął mistrz. Ujął czekan i zniknął w przejściu. Studenci patrzyli chwilę po sobie i podążyli za nim.

W korytarzu było stosunkowo widno, choć nie wiadomo, skąd światło się brało. Tunel nagle skręcał, unosił się, opadał. W jednym miejscu należało przejść po linowym moście nad zagłębieniem pełnym tłuczonego szkła. Wreszcie ściany uciekły w bok i grupa stanęła w jaskini. Na jej końcu jarzyło się wejście do korytarza.

- Jesteśmy blisko – oświadczył mistrz.

W półmroku poruszały się jakieś sylwetki. Rozległo się chrapanie. Studenci w przerażeniu patrzyli na stado ogromnych goryli. Tylko Wulfguth wiedział, co to jest, ale wcale go to nie uspokajało. Małpy otoczyły grupę, warcząc i szczerząc kły.

Mistrz Makir rozpiął kozuch, wsunął bęben szamański pod koszulę, z kieszeni wyjął cynowy garniec i zbliżył się do największej z małp. Bestia

opadła na cztery łapy i wbiła w uczonego spojrzenie. Studenci zamarli.

Człowiek i goryl stali nieruchomo. Słychać było zaniepokojone sapanie pozostałych osobników. Nagle Makir przyłożył garneczek do ust i ryknął zło-wrogo. Zaczął bić pięściami w bęben, który miał na piersi. Zdawało się, że od hałasu drżą ściany. Goryl zawahał się. Już, już rzuci się na uczonego... ale spuścił oczy i odszedł na bok. Stado się rozstało.

- Widzicie, co znaczy znajomość zoologii – zwrócił się Makir do żaków.

Dalsza droga przebiegła spokojnie. Ekspedycja weszła do wielkiej sali, wykutej w marmurze. Pod przeciwległą ścianą, na postumencie, spoczywał foliał w granatowej oprawie. Od patrzących od-dzielała go fosa wypełniona czymś białym i spie-nionym. Przerzucono przez nią trzy mostki. Mistrz zbadał je trzonkiem czekana i podszedł do księgi. Także i żacy.

Jednak nie zdążył dotknąć *Słownika Wielkie-go Żranga*, gdy do pomieszczenia wpadło sześciu osobników w identycznych, ciemnoliliowych ka-ftanach i obcisłych nogawicach. Ich dowódca za-wołał: „Dawajcie tę książkę!”, a Howar, nie czeka-jąc na swego mistrza, odkrzyknął: „To se ją weź!”.

Zbiry zaatakowały, ale studenci Makira nie byli zwykłymi żakami. Przyjęli postawę obronną. Tu-ki ciał nożem napastnika, który rzucił się na niego. Drugi złoczyńca poślizgnął się i wpadł do burzącej się cieczy. Wulfguth, zawołany szermierz, przyjął na siebie atak dwóch drabów. Dowódca przeko-czył fosę i wymierzył w Makira włócznią. Brzęk-nęła cięciwa Howara. Włócznia padła na marmur, tak, jak i jej właściciel.

Uczony wsparł czekaniem Wulfgutha. Tymcza-sem ostatni z wrogów wziął rozbieg. Tu-ki chciał go zatrzymać, ale dostał rękonożem w twarz. Bandyta pchnął Howara, zagarnął foliał pod pachę i zaczął uciekać. Makir dogonił go przy samych drzwiach i dziaknął czekaniem. Księga, upadając, otworzyła się, a mistrz kopnął z tyłu ostatniego draba, który tym samym nadział się na miecz Wulfgutha. Walka była skończona.

- Nie wiedziałem, że ta księga jest aż tak popu-larna – rzekł student. – Zobaczę, co z Howarem...

Uczony schylił się po księgę. Przypadkiem doj-rzał fragment tekstu i padł bez czucia na ziemię.

Ocknął się z bólem głowy, kończyny miał ze-sztywniałe z zimna. Leżał na krawędzi urwiska,

a obok spoczywali studenci. Przed Makirem stał czarnobrody brzuchacz w liliowej szacie. Docent Kutha, osobisty wróg Makira.

- No cóż, mistrzu... Dzięki za załatwienie tych ma-łp, inaczej nigdy bym tam nie wszedł – uśmiech-nął się docent. – Dzięki też za wybicie moich ludzi, przez co nie muszę im płacić. Upokorzyłeś mnie na radzie uczelni, a teraz mam okazję się zemścić...

- Nie jest dobrze, gdy za zwycięstwo intelektu-alne rewanżujesz się siłą.

- Nie mędrkuj, Makirze. Idealista z ciebie, a praktycznego zmysłu ci brakuje.

- Idealista? A kto chce *Słownik Wielkiego Żran-ga* udostępnić ludzkości?

- Udostępnić? Głupcze! Ta księga ma dać na-szemu dziekanowi moc, jaką dziś znamy tylko z mitów!

- Twój dziekan się rozczaruje – przekony-wał Makir.

- Gadanie... Zaraz sprawdzę, co ten *Słownik* na-prawdę zawiera. Może i ja coś uszczknę ... - i Ku-tha otworzył księgę.

Makir nie mógł się na niego rzucić, zdrewniały z zimna. Wyczuł pod sobą bęben szamański i za-czął stukać palcami, by przywrócić krążenie. Do-cent czytał i z każdą chwilą potężniał.

W momencie, gdy mistrz odzyskał władzę w rę-kach, jego przeciwnik przycisnął do piersi *Słownik Wielkiego Żranga*. Kutha wrzasnął nieludzkim gło-sem i skoczył w przepaść. Foliał wyleciał mu z rąk i uderzył w skalny występ. Rozległ się huk, a gdy dym opadł, występu już nie było.

- Szkoda – rzekł Makir. – Jeśli nie my, to po-tomni byliby mądrzy na tyle, by właściwie spożyt-kować tę księgę.

Po miesiącu mistrz Makir złożył relację rekto-rowi. Jego Magnificencja nie był zbyt zadowolony ze zniszczenia księgi, ale chodziło głównie o to, by nie dostała się w ręce filologów, i cel ten został osiągnięty. Rektor wypisał mistrzowi polecenie wypłaty $\frac{3}{4}$ początkowej sumy, a także dodatku na leczenie dla rannego Howara.

- A z dziekanem filologów to ja jeszcze sobie porozmawiam – rzekł rektor, odprowadzając uczo-nego do drzwi.

Mistrz Makir spojrzał mu przez ramię. I zdało mu się, że na regale, w krwawoczerwonej oprawie, stoi *Słownik Wielkiego Żranga*.

Elżbieta Hurnikowa

Ludmiła Marjańska (1923-2005)

Rok 2007 to rok jubileuszowy znanych częstochowskich szkół posiadających wieloletnie tradycje i piękną kartę w historii edukacji: LO im. Henryka Sienkiewicza i LO im. Juliusza Słowackiego (którego jestem absolwentką). „Słowacki” obchodził 100-lecie istnienia. Jubileusze prowokują do różnego rodzaju podsumowań, statystyk, a przede wszystkim – wspomnień. W historii każdej szkoły ważne jest, kto w niej uczył i kto do niej uczęszczał. W historię LO Słowackiego wpisane są nazwiska postaci ze świata nauki, sztuki, literatury. Do tego grona należy Ludmiła Marjańska, znana powieściopisarka, poetka i tłumaczka, autorka audycji radiowych; w październiku 2007 roku minęły dwa lata od Jej śmierci. Nazwisko Marjańskiej związane jest ściśle z Częstochową – nie tylko poprzez fakt, że pisarka się tu urodziła i spędziła pierwsze lata młodości, ale także dlatego, że upamiętniła swoje miasto w książkach napisanych po latach.

Urodziła się 26 grudnia 1923 roku jako córka Marii z Brommów i Ludwika Tadeusza Mężnickiego. Jej przodkowie wywodzili się z Austro-Węgier¹. Ojciec po studiach prawniczych prowadził kancelarię adwokacką w Częstochowie w Alejach Najświętszej Maryi Panny pod nr 55; tu urodziła się Ludmiła. Potem rodzina przeniosła się na ul. Kilińskiego 3, a kiedy Mężnicki poważnie zachorował – do siedziby rodowej przy ul. 7 Kamienic 29.

¹ Informacje na temat rodziny Ludmiły Marjańska zdobywała z opowieści ojca oraz z artykułu Wawrzynowicza *Muzyka na Jasnej Górze*, (w:) „Ziemia Częstochowska”, Wyd.: Towarzystwo Popierania Kultury Regionalnej. Zob. L. Marjańska, *Częstochowa – miasto mojej młodości*, (w:) Almanach Częstochowy, Wyd. Towarzystwo Przyjaciół Częstochowy, Częstochowa 1993, s. 62-69; tejsze, *Rodzinnie wspomnienia*, (w:) Almanach Częstochowy, Wydawnictwo Towarzystwa Przyjaciół Częstochowy, Częstochowa, czerwiec 2004, s. 123-130. Nazwisko Mężnickich znajduje się w *Rejestrze osobowo-meldunkowym* w jęz. rosyjskim w Archiwum Państwowym w Częstochowie. Na temat Ludmiły Marjańskiej pisze w publikacji: *Z częstochowskiej ziemi na „literacki Parnas”*. *Antologia wierszy Władysława Sebyły, Jerzego Lieberta, Haliny Poświatowskiej, Ludmiły Marjańskiej*, wstęp i wybór wierszy E. Hurnikowa, Muzeum Częstochowskie 2006, s. 53-64.

Przyszła poetka uczyła się w żeńskim Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego. Do wybuchu wojny ukończyła III klasę, potem kontynuowała naukę na tajnych kompletach. Maturę zdała w 1942 roku. Studiowała w tajnej wyższej szkole dyplomatycznej, pracowała, zajmowała się działalnością konspiracyjną. Doświadczenia z okresu edukacji przed 1939 i po wybuchu wojny odtworzyła w powieściach napisanych po latach: *Pierwsze śniegi, pierwsze wiosny* (1985) i *Życie na własność* (1987), a także w wierszu *Moje prywatne cv.* To swego rodzaju liryczny autoportret, którym pojawia się uczennica w granatowym mundurku, z niebieską tarczą na rękawie, a potem:

*Zakochana dziewczyna
odjechała na rowerze
wioząc do lasu pistolet (...)²*

Słowa te odnoszą się zarówno do okupacyjnego etapu życia, jak i do szkolnej miłości, Janusza Marjańskiego, byłego ucznia Gimnazjum im. Henryka Sienkiewicza, za którego Ludmiła wyszła za mąż 28 lipca 1945 roku. Małżeństwo to trwało ponad pół wieku.

Marjańscy wyjechali po ślubie do Łowicza, a potem do Warszawy. Janusz studiował architekturę, Ludmiła pracowała jako korespondentka w przedsiębiorstwach handlu zagranicznego. W roku 1947 urodziła się im córka Maria, a w 1950 – syn Maciej. Marjańska ukończyła filologię angielską na Uniwersytecie Warszawskim. W roku 1960 wyjechała na stypendium do Stanów Zjednoczonych, a potem nastąpiły liczne podróże, związane głównie z pracą przekładową (w latach 1974, 1976, 1980, 1987).

Dokonania Ludmiły Marjańskiej obejmują różne dziedziny twórczości. Pisała wiersze, a także utwory dla dzieci; była autorką przekładów z literatury anglojęzycznej. Przez wiele lat współpracowała z Polskim Radiem jako redaktor audycji poetyckich, była czynnym członkiem Związku Literatów Polskich, a od 1990 - Zarządu Głównego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich; w okresie 1993-1996 pełniła funkcję prezesa Stowarzyszenia. Za swoją działalność w dziedzinie kultury otrzymała odznaczenia i nagrody.

W latach 80. zaczęła nawiązywać ścisłe kontakty z Częstochową, miastem młodości. Została wówczas zaproszona do Klubu Międzynarodowej Książki i Prasy (przez Augustyna Chojnowskiego), kolejne spotkania miały miejsce w LO Słowackie-

² L. Marjańska, *Otwieram sen*, Czytelnik, Warszawa 2004, s. 7.

go. Zapoczątkowały one przyjaźnie z nauczycielami i uczniami, stały się także inspiracją do książki *To ja, Agata*. Jak sama stwierdziła, Częstochowa z biegiem lat stawała się jej coraz bliższa.

Przez prawie pół wieku Marjańska opublikowała kilkanaście zbiorów poetyckich (debiut: 1953). Jej liryczny światopogląd opiera się na sprawdzonych wartościach: na miłości, wierności sobie i innym, poszanowaniu życia w jego wszelkich przejawach. Piękno świata dostrzega poetka zarówno w pejzażach Arizony czy Turyngii, jak i w drobiazgach, okrucinach, w dniu powszednim. W hierarchii jej wartości mieści się miłość macierzyńska i miłość do mężczyzny, pełna wzniosłości, ale też udręki i cierpienia. O tym najdobitniej mówią wiersze zawarte w zbiorach *Przez całe życie miłość* (1998) i *Żywica* (2001). Tom *Żywica* powstał pod wpływem przeżyć związanych ze śmiercią męża, który odszedł na krótko przed 54. rocznicą ich ślubu. To zbiór unikalny w poezji polskiej, mówiący o miłości do mężczyzny starego, chorego, tracącego pamięć:

*Po kursie ubierania i golenia
dochodzi sztuka karmienia łyżką³*

Równie rzadkim zjawiskiem w wierszach jest starość kobieca:

*A więc już do nich należą,
do tych starych kobiet
pochylonych nad życiem jak nad zlewem(...)⁴*

Ci, którzy znali Ludmiłę Marjańską, wiedzą, że tak naprawdę nigdy nie była starą kobietą. Była młodą dziewczyną, która zmarła, mając 82 lata. Podczas uroczystości w 2003 roku w Częstochowie, w Teatrze im. A. Mickiewicza, kiedy świętowała 80. urodziny i jubileusz pracy twórczej, poetka powiedziała: „Mam lat 58 z Vatem”. Może to właśnie nieustająca afirmacja życia, umiejętność dostrzegania piękna w otaczającym świecie i w codzienności pozwoliła jej zachować do końca pogodę ducha i godnie przyjąć to, co nieuniknione. O odejściu pisała w zbiorach *Córka bednarza* (2002) i *Otwieram sen* (2004). Zmarła 17 października 2005 roku. Pochowana została w Warszawie, na cmentarzu w Wilanowie, obok męża.

³ L. Marjańska, *Żywica*, Czytelnik, Warszawa 2001, s. 18.

⁴ L. Marjańska, *Spotkanie z Weroniką*, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1999, s. 19.

Już trzeba iść...

- w 40. rocznicę śmierci Haliny Poświatowskiej

Od wielu miesięcy funkcjonuje w Częstochowie pięknie zaaranżowany Dom Poezji, stanowiący Muzeum Haliny Poświatowskiej.

Autorami gustownej stylizacji wnętrza są malarz Włodzimierz Karankiewicz i architekt wnętrz Tadeusza Kosela, na co dzień pracownicy Instytutu Plastyki Akademii im. Jana Długosza. Niezwykle urokliwe i pełne wibrującego piękna wnętrze, przypominające wiosenny ogród, stało się gościnnym miejscem do zorganizowania skromnych, acz nastrojowych uroczystości 40-lecia śmierci Poetki. Poprzedzające tę uroczystość odsłonięcie symbolicznej ławeczki w III Alei, spowite przez władze miasta mgiełką tajemnicy, uradowało wszystkich miłośników wierszy Haliny Poświatowskiej, która błyszczy diamentowym światłem w panteonie najwybitniejszych poetów XX wieku. Tym samym Poświatowska doczekała się miejsc siebie godnych na kulturalnej mapie rodzinnego miasta.

Kameralną uroczystość, na którą przybyło liczne grono wielbicieli talentu Poetki, otworzył gospodarz i kustosz Muzeum, brat Haliny Poświatowskiej, Zbigniew Myga, który wraz z żoną Joanną dyskretnie pełnili honory Państwa Domu. Pierwsza mówiła - za szybko i nie zawsze na temat - Mariola Pryzwan, znawczyni twórczości Poetki i autorka jej biografii. Egzaltowany, pełen patosu zachwyt urodą, gustem i upodobaniem do pozowania do zdjęć Haški, jak nazywali ją najbliżsi, przesłonił nieco obraz prawdziwej, w pełni siebie świadomej kobiety, której eteryczność jest dość złudna. Wrażenie to wynik wibracji i nastrojów zawartych w jej wierszach.

Drugą, liryczną część wieczoru, wypełniła kilkanaście arcydziełkami Poświatowskiej Paula Kwietniewska - dla mnie najlepsza aktorka młodego pokolenia częstochowskiego teatru - która przy tej okazji stanęła przed nie lada wyzwaniem. Będąc praktycznie między publicznością, wśród której były niesforne zachowujące się dzieci, czarownice, dyskretnie, zwiewnie interpretowała te jakże osobiste, intymne słowa Poetki. Z sytuacji wybrnęła zatem mistrzowsko, ocalając nie tylko ich ulotne piękno i głębokie przesłanie, ale ukazując także swój kunszt aktorski i zapewniając tym samym wszystkim obecnym porcję niecodziennego wzruszenia.

Joanno i Zbyszku, oby więcej takich chwil przeżytych w Domu Poezji!

Joanna Grochowska

Konkurs poetycki rozstrzygnięty

Konkurs poetycki „Jesienne osvajanie słów” zorganizowano z okazji 40. rocznicy śmierci znanej częstochowskiej poetki, Haliny Poświatowskiej. Wzięli w nim udział uczniowie szkół ponadgimnazjalnych: I LO im. Juliusza Słowackiego, II LO im. Romualda Traugutta, IV LO im. Henryka Sienkiewicza, V LO im. Adama Mickiewicza, VI LO im. Jarosława Dąbrowskiego, VII LO im. Mikołaja Kopernika, IX LO im. Cypriana Kamila Norwida oraz Zespołu Szkół im. Gen. Andersa i Technicznych Zakładów Naukowych.



Mateusz Trzmiel



Fot. Leszek Pilichowski

Jury w składzie: Marian P. Rawinis, Anna Woźnicka, Ilona Kowalska, Agnieszka Batorek postanowiło przyznać następujące nagrody i wyróżnienia:

I MIEJSCE - **Mateusz Trzmiel** z LO im. Kopernika - za wiersz „Subiektywna widowia jednoosobowa”

II MIEJSCE - **Aleksandra Michałowska** z LO im. Kopernika - za wiersz „Gazeta”

III MIEJSCE - **Marta Krajcer** z LO im. Norwida - za wiersz „Chemia czy coś więcej?”

WYRÓŻNIENIE - **Marta Kapala** z LO im. Norwida - za wiersz „Grzech”

Ponadto jury uznało za obiecujące wiersze: **Aleksandry Bieniek** z Liceum im. Norwida oraz **Joanny Dymarek** z Liceum im. Kopernika.

Uroczystość ogłoszenia wyników konkursu i wręczenia nagród odbyła się w Filii nr 1 Biblioteki Publicznej w Częstochowie. Nagrodzone utwory zaprezentowała aktorka Teatru im. Adama Mickiewicza w Częstochowie, **Paula Kwietniewska**.

I Nagroda w Konkursie „Jesienne osvajanie słów”

MATEUSZ TRZMIEL

Subiektywna widownia jednoosobowa

Z perspektywy parapetu
Wszystko wydaje się łatwe
Trochę pozbawione grawitacji codzienności

Z perspektywy parapetu
Można kogoś pochopnie ocenić
Lekkim puchem niezobowiązujących myśli

Z perspektywy parapetu
Nawet ksiądz wydaje się mniej ludzki
I nie obowiązuje gwar

Z perspektywy parapetu
Szybciej kiełkuje niedopieszczony egoizm
W kokonie rozmyślań o sobie

Z perspektywy parapetu
Wzrok staje się tępy i szklanie zimny
Pogardliwie obojętny dla kogoś końca świata

Z perspektywy parapetu
Współczucie milknie w rozmowie
Z kwadratowym od siedzenia lenistwem

Z perspektywy parapetu
Nie warto nikogo zaprosić na parapet obok
Choć miejsc pod dostatkiem

Z perspektywy parapetu
Trudno się zakochać
Bo parapet dla dwojga traci perspektywę

Z perspektywy parapetu
Jest tylko jeden parapet

Mateusz Trzmiel – uczeń I klasy LO im. M. Kopernika. Ulubiony przedmiot – język polski (w porywach – angielski). Mówi: Czasami zdarza się, że czuję się zagubiony w świecie popkultury. Kiedy myślę o przyszłości, to rysuje mi się w głowie taki schemat: będę tłumaczem książek, który dorywczo będzie pisał do gazety; ten dziennikarz wyda czasem jakąś książkę i wreszcie ten pisarz będzie od święta poetą.

Ratujmy zabytki sztuki fortyfikacyjnej w Częstochowie

Latem 1939 r. Sztab Główny Wojska Polskiego zarządził budowę wzdłuż granicy polsko-niemieckiej łańcucha umocnień z żelbetu, mających wzmocnić polską obronę. Prace prowadzono także w rejonie Częstochowy. Planowano budowę 61 obiektów, wykonano prawdopodobnie 14. Te żelbetowe schrony, wznoszone według ujednoczonych planów, cechowały niewielkie wymiary oraz prosta, lecz wytrzymała konstrukcja. Częstochowskie schrony to nieduże obiekty uzbrojone w 1 CKM, większy uzbrojony miał być w 2 CKM. Niektóre prezentują typ schronu obserwacyjnego. Na wysuniętej pozycji w okolicach Lublińca można też znaleźć unikatowy w skali kraju schron armaty przeciwpancernej.

Istnieją do dzisiaj, ale czas jest nieubłagany. Niełaskawy dla tych obiektów jest też człowiek – wystarczy obejrzeć dwa obiekty znajdujące się przy ulicy Łódzkiej. A jest to wyjątkowa pamiątka naszej historii. Nie jest przedmiotem tej publikacji opis tych

umocnień – zrobili to przede mną Andrzej Siwiński, Andrzej Bossowski, Szymon Kucharski. Ale chcę zapelować o ratunek dla częstochowskich fortyfikacji.

Do napisania tego apelu zachęcił mnie p. Zbigniew Biernacki, znany częstochowianom właściciel antykwarni „Niezależna”. Pokazał mi materiały na temat działalności śląskiego Stowarzyszenia „Pro Fortalitium”. Grupie zapaleńców udało się przeprowadzić renowację kilku obiektów wchodzących w skład Obszaru Warownego Śląsk. Odremontowane obiekty (Dobieszowice, Wiry, Chorzów) mieszczą ekspozycje, które są udostępniane do zwiedzania. Wiadomo nam, że próby ratowania fortyfikacji z II wojny światowej czynione są gdzie indziej, np. w Spale. Czy nie można by i u nas zrobić czegoś podobnego?

Nadmienić trzeba, że wzmiankowane „Pro Fortalitium” prowadzi działalność wydawniczą, inwentaryzuje zachowane obiekty, popularyzuje wiedzę na temat historii najnowszej.

Jeszcze jeden fragment naszej historii... Mały, ale wymowny. Rozpacзлиwa próba wzniesienia zapory na drodze najeźdźcy... Nie można udawać, że tych bunkrów nie ma. Jeżeli nic się nie zmieni, kiedyś znikną z częstochowskiego krajobrazu.

Zbigniew Stańczyk



Fot. Zbigniew Burda

Zbislaw Janikowski

KIOSKI, WITRYNY, GAZETY...

Amnie jest szkoda lata/i letnich szkoda wspomnień/ niech mówią głupi o mnie... śpiewał przed laty Marian Bogucki w sentymentalnej piosence. I miał chłop rację. Gdy patrzy się w zapłakane okno, a o szyby (jak u Staffa) *deszcz dzwoni jesienny/ i pluszcze jednaki, miarowy, niezmienny...* wiadomo, że jasnych spodni już więcej nie włożę (Bogucki) ... a wyjść trzeba. Na dworze pada, siąpi, leje, mży (kolejność dowolna, jak komu wygodniej), a wyjść trzeba, psi pęcherz rządzi się psimi prawami, więc kurtka, czapka i w drogę. W kiosku pani Karolinka wertuje codzienną porcję prasy, krótki komentarz, wymiana zdań i uprzejmości, idziemy dalej.

Przypomniałem sobie niedzielę, w którą miał ukazać się pierwszy numer „Dookoła Świata” – nowego tygodnika na scenie wydawniczej lat pięćdziesiątych. W mojej naiwności nastolatka, ufne, wierzące, uposażony maminy kilkoma złotymi, wyruszyłem (no może nie błędym świtem), ale zaraz po śniadaniu, na poszukiwanie szumnie zapowiadanej gazety. Od kiosku do kiosku, z jednej strony Placu (w tym czasie Centralnego, a może Stalina – bo plac tak się też nazywał) na drugą – wtedy można było bezkarnie przechodzić na tak zwaną „skuśkę”, Aleją do parku i z powrotem, i dalej aż do Św. Zygmunta, koło katedry, na dworzec; nogi wchodzą do gardła, wszędzie to samo: „nie ma”, „brakło”, „sprzedane” i z rzadka rzetelna informacja: można założyć teczkę, odłożymy. A było w tym czasie owo „Dookoła Świata” prawdziwym, choć maleńkim, okienkiem na świat. Reportaże z dalekich i egzotycznych krajów, zdjęcia nieznanymi metropoliami, inkaskie piramidy, buddyjskie świątynie, Murzyni, Aborygeni, Eskimosi, Tungusze, nawet amerykańscy śpiewacy jazzowi. Na dodatek wszystko w kolorze: wieżowce Nowego Jorku, amazońska dżungla, afrykańskie Serengeti, jezioro Bajkał, Himalaje, Niagara... Wszystko za jeden polski złoty (a może trochę więcej), prawie wszystko i to po latach kompletnego kneblowania wiadomości, wszystko co było ukryte w cieniu rzuconym przez potężny Związek Republik Rad. Od drugiego numeru poszło gładko, mama zamówiła gazetę w „Renomie”, byli uprzejmi dokładać do te czki gdzie oprócz „obowiązkowego” dziennika (którym było nasze częstochowskie „Życie”), „Przekroju”, „Przyjaciółki” i „Kobiety i Życie” (same deficytowe tytuły), znalazło się i „Dookoła Świata”.

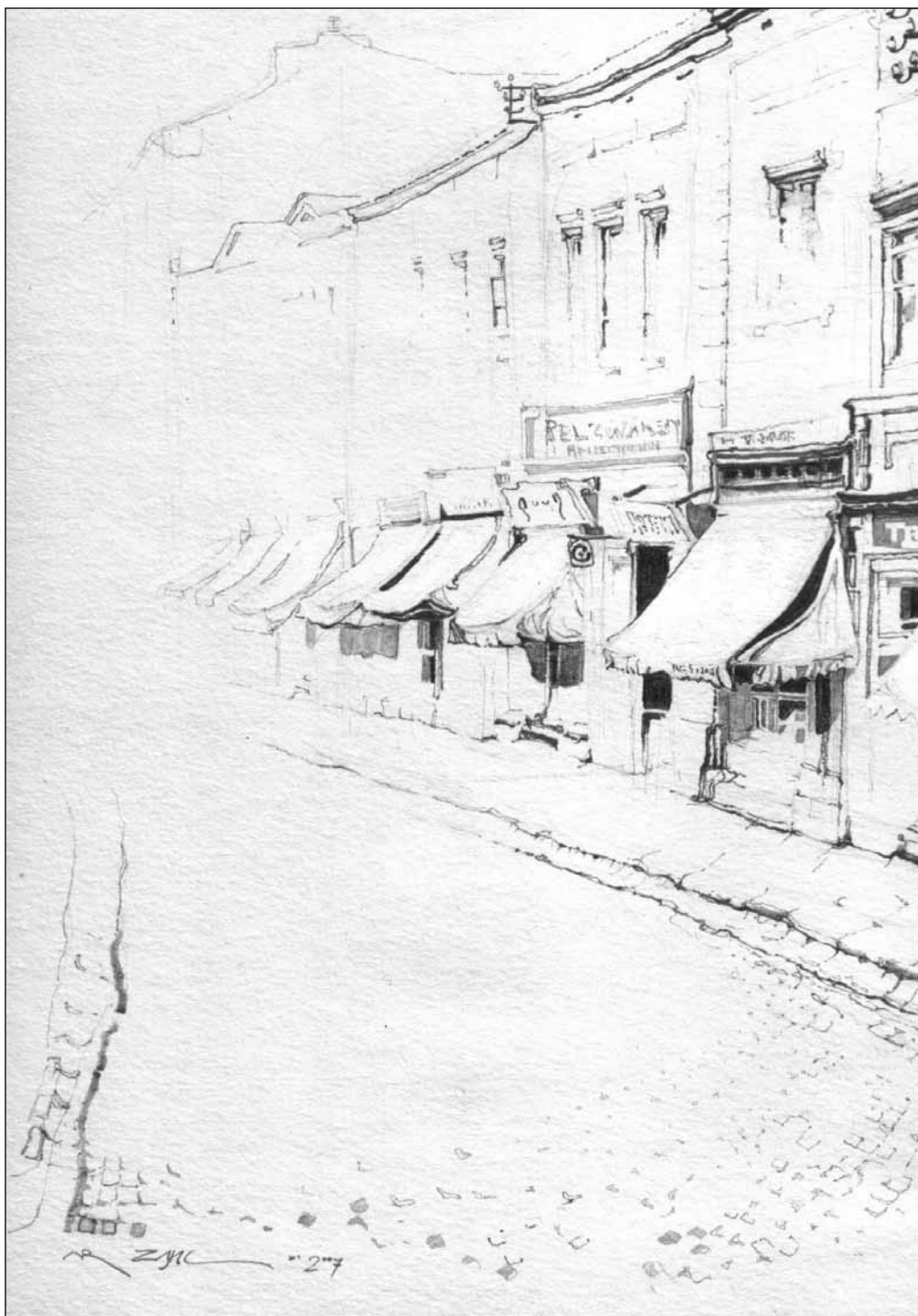
„Renoma” - sklepik z gazetami - znany był w mieście, był rodzajem instytucji, tu zamawiali i odbierali prasę „wszyscy”, prócz tego była to najlepsza trafika – wtajemniczeni kupowali to, czego nie było oficjalnie - amerykańskie papierosy. Lubiłem oglądać opakowania papierosów palonych przez ojca, barwne, owinięte w błyszczący i szeleszczący celofan, z czerwoną żelatynką do otwarcia paczki. Na opakowaniu wielbłąd pod piramidami na „camelach”, czerwone kółko na „lucky streikach”, fantazyjny monogram „chesterfieldów”, pamiętam też ostry ale miły zapach tytoniu, gorzej już było z dymem, ten nie zawsze pachniał przyjemnie, szczególnie w nadmiarze.

„Renoma” przez lata brylowała na częstochowskim rynku; początkowo mieściła się w maleńkim lokaliku przy ulicy Kościuszki, róg Alei, obok restauracji rybnej; tutaj kupowano dla mnie gazetę (chyba?) „Świat Młodych”, w której były „prawdziwe” komiksy z „prawdziwymi” bohaterami i jeszcze disneyowska Miki, upadek tej gazety oplakiwałem rzewnymi łzami, wstrząsająca była też strona tytułowa tego numeru, na której zetempowcy w czerwonych krawatach przepędzają czarno-białą amerykańską, kapitalistyczną mysz. Potem „Renoma” przeszła do większego lokalu w drugiej Alei, tuż za rogiem z ulicą Kościuszki, w domu sąsiadującym ze stylowym narożnym budynkiem, siedzibą elektrowni, dawniej banku. Za bardzo wysoką dębową ladę z wyłożonymi na niej gazetami, właściciele (państwo Żukowscy?), w lokalu zawsze liczni klienci, jako że była tu również kolektura Państwowej Loterii Pieniężnej, w którą w tych latach grał cały naród. Co dwa tygodnie odbywało się kolejne losowanie wygranych, (wygrywał wylosowany numer - zgodny z numerem losu), wieczorem w dniu losowania można już było w kolekturze sprawdzić główną wygraną, a dnia następnego wywieszano pełne tabele wygranych, te jednak jakoś nie padała na zawołanie i zawiedziony tłumek sprawdzających niedoszlých milionerów rozchodził się zawiedziony. Nie wszyscy, bardziej zdeterminowani od razu zakupywali nowe losy, najczęściej powtarzali swój (podobno szczęśliwy numer), wielu podwajało stawkę i to wszystko w ustrojowych warunkach równości społecznej i przy założeniu, że pieniądze szczęścia nie dają. Loteria nie miała w tym czasie konkurencji ani Totolotka ani innych gier losowych. Losy można było kupować w całości albo w częściach (ćwiartki lub połówki losu). Zaciskając pasa, a przychodziło mi to wyjątkowo łatwo, uzbierałem niezbędną kwotę i w tajemnicy, nie trzeba chyba dodawać, że w wielkiej, zakupiłem ćwiartkę losu. W noc poprzedzającą losowanie miałem jakieś senne omamy, liczyłem wygrane miliony, żałowałem, że to tylko ćwiartka losu, układałem listę najpilniejszych zakupów, w szkole złapałem pewnie dwóję i uwagi, obiad też mi nie smako-

wał. Wieczorem pod jakimś pozorem wyrwałem się z domu i mimo surowych zakazów – nie wolno było samemu przebywać na ulicy - pogałem sprawdzić. Rozczarowanie, wręcz katastrofa, która potwierdziła się po opublikowaniu pełnych wyników losowania w dniu następnym. Przypuszczam, że albo się wygadałem, albo odkryto moje machinacje, bo pod choinką znalazłem połówkę nowego losu, grałem na nią długo, raz zwróciła się stawka, wreszcie zrezygnowałem. Substytutem okazała się „Karolinka”, śląska gra liczbowa. Punkt zawierania zakładów mieścił się oczywiście w „Renomie”. Mimo, że skreślało się dziesięć cyfr z dziewięćdziesięciu, graczy nie brakowało. Tłum szturmował „Renomę”, kolejki ciągnęły się aż do ulicy Kościuszki, nie wiem czy „koniki” nie odsprzedawały miejsc w kolejce. Losowanie w niedzielne przedpołudnie gromadziło przy radiodiodownikach większą część mieszkańców naszego miasta, proboszczowie zmieniali termin odprawiania niedzielnej sumy, bo kościoły świeciły pustkami, a wymarzone wielkie sumy wygranych jakoś nie padały, a już na pewno nie w Częstochowie. Zgrałem raz, urywając się z pobliskiego Traugutta na krótkie wagary, by skreślić oczywiście szczęśliwe liczby, wpadłem i podpadłem a wygrana nie padła.

Jeszcze jednym czynnikiem napędzającym do „Renomy” stałych klientów był wiszący na ścianie telefon, telefon publiczny, z którego po uiszczeniu przy ladzie opłaty w gotówce, można się było połączyć z wybranym rozmówcą. Wesolo i gwarno było w ciasnym pomieszczeniu, gdy ktoś wykrzykiwał w tubę słuchawki pytanie o zdrowie ukochanej

babci, złośliwi komentatorzy oczekujący cierpliwie na swą kolej dopytywali, kiedy babcia zejdzie i czy są szanse na spadek. Inni, szyfrując, umawiali się z jakąś Lolą na randkę (najczęściej w popularnym, trudnym do pomylenia miejscu – „pod zegarem”), jeszcze inni załatwiali interesy, ci dopiero byli mistrzami kamuflażu, szyfrowali imiona, nazwiska, adresy, szczególnie, gdy próbowali z adwokatem omówić sądowe sprawy spadkowe. Oj, napatrzyłem się i nasłuchiłem



Arkadiusz Zajac

tam niejednego, jako że bywałem częstym gościem, odbierającym zawartość prasowej teczki. W tym czasie prywatna firma zmieniła się w uspołeczniony „Ruch” i ostatecznie jako „Ruch” wylądowała w trzeciej Alei; gorszy los spotkał jej właściciela „surowo i sprawiedliwie” ukaranego za rozwijanie zabronionej działalności gospodarczej. W „trzeciej” Renoma znalazła się poza głównym handlowym nurtem miasta i szybko przegrała ze zwykłymi kioskami.

Kioski „Ruchu” to nieodłączny fragment polskiego, ale też i częstochowskiego krajobrazu. Pierwsze kioski, jakie zostały w mej pamięci, pochodziły z czasów przedwojennych i jeszcze długo po wojnie stały na czterech „rogach” placu. Wyglądem przypominały sześciokątne baszty w głównej frontowej ścianie jasnogórskiego klasztoru. Jak przystało na dawne szanujące się kioski oferowały wyłącznie gazety i wyroby tytoniowe. Gazety częściej sprzedawali gazeciarze, pamiętam obdartych półbosych chłopców biegnących po ulicach i wykrzykujących najbardziej sensacyjne wiadomości zaczynając od przejmującego: „cieeeeekawe nowinyyyy...”.

Papierosy sprzedawano nie tak jak dzisiaj całymmi paczkami, królował detal, głównie z powodów oszczędnościowych pałacy kupowali dziesięć, ale częściej pięć sztuk. Przechowywano je w papierośnicach, które stanowiły atrybut każdego szanującego się mężczyzny pałacza, często wykonane były one ze srebra, ozdobione monogramami właściciela, naprawdę zamożni nosili papierośnic złote, ci jednak rzadko kupowali pięć papierosów. Jeżeli już mówimy o papierośnicach były one doskonałym męskim prezentem, wtedy na wewnętrznej stronie wieczka grawerowano odpowiednią dedykację, czasami inskrypcję. Iluż młodych ludzi otrzymywało papierośnicę wkraczając w dorosłe życie, niejeden kończący zawodową karierę otrzymywał taki właśnie prezent od kolegów; dziś na różnych giełdach staroci można trafić na taki relikwiarz przeszłości, w którym widnieje dumny zapis: „Drogiemu Prezesowi na pamiątkę współpracy w... - Koledzy” i data.

Zapamiętałem też chyba ostatnich ulicznych sprzedawców papierosów. Zjawiali się wszędzie tam, gdzie zbierała się większa grupa ludzi, w Częstochowie w sezonie pielgrzymkowym wiodło im się wcale nieźle, klientów nie brakowało. Taki obchodowy kiosk papierosowy nosił zawieszoną na piersiach walizkę, w której były „mocne”, „górniki”, „lotniki”, „wczasowe” i inne wynalazki z epoki. Oczywiście, wszystko na sztuki, wszystko elegancko owinięte w kawałek starej gazety; taki to i ognia podał albo z pudełka zapalek dołożył kilka gratisowych sztuk, łącznie z kawałkiem „zadryski”. Dla lepszych klientów miał poupychane po kieszeniach „amerykany”,

a ogień podawał z zapalniczki. Zapalniczka tamtych czasów miała napęd benzynowy, a jej rozrusznikiem były specjalne zapalniczkowe kamienie, którymi oczywiście też handlował nasz uliczny sprzedawca. Przypomniałem sobie z tamtych lat anegdotę o papierosach. Był to okres wojny koreańskiej, na którą różne kraje wysyłały wojskowe kontyngenty. W pomoc zaangażowała się również Polska (oczywiście po słusznej stronie) – wysłano 2 tysiące „lotników”, 3 tysiące „górników” i 5 tysięcy „mocnych”.

Zdominowany przez „Ruch” rynek prasy, zunifikował też w całym kraju wygląd kiosków, w których prasę sprzedawano. Na narożnikach naszego placu (czy już Biegańskiego – nie powiem) pojawiły się przeszklone pawiloniki, a w nich oprócz papierosów i gazet przysłowiowe mydło i powidło. Prawdziwi pałacze odczuli zmianę na własnych płucach, papierosy nabrały smaku i zapachu proszku do prania (a proszek marki proszek pachniał sodą, że hej). Ciasne pomieszczenie „Renomy” przypominało mydlarnię lub skład apteczny, a gdy jeszcze pojawiły się dziecinne zabawki, stała się mini marketem i w końcu ustąpiła miejsca biurom „Życia Częstochowy”.

Gazety połowy lat pięćdziesiątych potrafiły już zaskakiwać. Takim tygodnikiem była śląska „Panorama”, niemal nieosiągalna w normalnej sprzedaży. Czytaliśmy ją na lekcjach, dzięki kolegom dojeżdżającym do Częstochowy pociągami, ci mogli wczesnym rankiem kupić gazetę na dworcu. Co tam można było wyczytać nie pomnę, ale w każdym numerze było zamieszczone (pewnie pierwsze w Polsce) zdjęcie troszkę rozebranej dziewczyny. Dziś takie „ostre” zdjęcia można znaleźć tylko w najbardziej pruderyjnej prasie, ale wtedy - ho, ho!

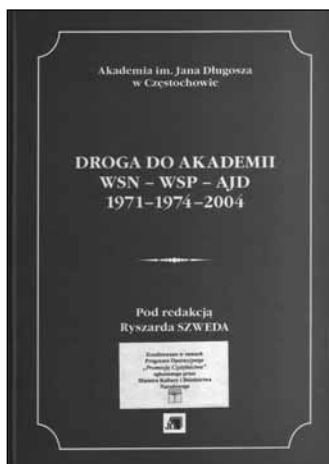
Dojeżdżający do szkoły zawsze pierwsi imponowali wszelkimi nowinkami. Gdy na rynek „rzucano” nowy rodzaj papierosów („mazury”), pakowanych w dziesiątki (odpowiedź państwa na handel na sztuki) oni pierwsi mieli to dwuosobowe чудо. Dwuosobowe, bo paliło się we dwóch, jeden palił a drugi go podtrzymywał, by po sztachnięciu nieszczęśnik nie zwał się z nóg.

I tak to w deszczowe, jesienne, niedzielne popołudnie rozpamiętywałem dawne czasy obłożony stosem bezwartościowej kolorowej makulatury, zadrukowanej przeciwstawnymi racjami, zdjęciami niemalże erotycznymi, reklamami najbardziej bzdurnych i niepotrzebnych rzeczy i z uporem godnym lepszej sprawy szukałem repertuaru jednego miejskiego kina, a w uszach brzęczał natrętnie stary przebój ... *poprosiłem poziomek niech kupi, ona na to, żem mazgaj i głupi...* Miał rację ten Bogucki, ...A mnie jest szkoda lata...

Zbislaw Janikowski

Warto przejrzeć/przeczytać

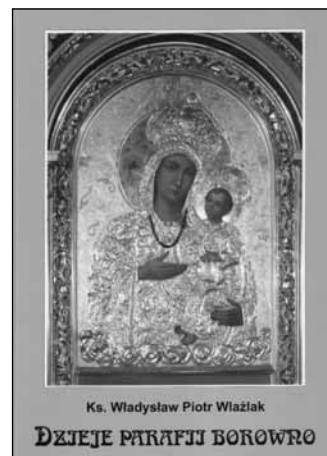
Droga do Akademii : WSN – WSP – AJD : 1971 – 1974 – 2006 / pod red. Ryszarda Szweda. – Częstochowa : Akademia im. Jana Długosza, 2006. – 254 s., [76] s. tabl. : il. ; 25 cm



Pojawienie się tej pozycji na rynku księgarskim można skomentować jednym słowem: nareszcie! Akademia im. Jana Długosza na swoją monografię zasługuje z pewnością. Uczelnia o wielkich zasługach dla miasta i regionu, o bogatym dorobku badawczym, długo nie mogła poszczycić się nawet próbą opisanego jej dziejów. Na szczęście należy to do przeszłości. Zespół historyków pracujących na Akademii pod kierownictwem prof. Ryszarda Szweda opracował obszerną, bogato ilustrowaną publikację – z przyjemnością zaznaczam, że książka jest dobrze przygotowana tak pod względem merytorycznym, jak i edytorskim.

Dzieje parafii Borowno / Władysław Wlazlak. – Częstochowa : "Educator", 2006. – 139 s. ; 24 cm

Region częstochowski to wciąż obszar pełen wielkich możliwości dla badaczy. Sądzę, że przez najbliższe dwa pokolenia może dać zajęcie całemu pułkowi historyków. Wsie i miasteczka o bogatej historii wciąż czekają na swoich odkrywców. Z tym większą przyjemnością pragnę donieść o wydaniu nowej książki ks. prof. Władysława Wlazlaka, poświęconej wsi Borowno. Miłośnikom historii regionu autora przedstawiać nie trzeba – to historyk o bogatym do-



robku, z wielką dociekliwością penetrujący obszary dotąd przez badaczy omijane.

Oszronione / Marzena Pieńkowska. – Częstochowa : Literackie Towarzystwo Wzajemnej Adoracji LiTWA, 2007. – 40 s. ; 21 cm

Debiutancki tomik poetycki Marzeny Pieńkowskiej (ur. 1976) zwraca uwagę z kilku powodów. Autorka, która dotąd zajmowała się głównie tłumaczeniami z literatury francuskiej (aktualnie otwarty przewód doktorski z translatoryki), teraz postanowiła objawić światu swój indywidualny talent. Pokazała dojrzałość emocjonalną i intelektualną, to raz, poezja ta ma formę całkiem kunsztowną, to dwa, ujawnia przy tym duże pokłady wrażliwości autorki, to trzy. Wystarczy, by zadeklarować – czekam na następny tomik !



Oprac. Zbigniew Stańczyk

Na marginesie wystawy młodej architektury

Jeśli o wartości wystaw można sądzić po tym, czy zostaje coś z nich na dłużej w pamięci widza, to mogę powiedzieć, że organizowane przez częstochowski oddział SARP prezentacje młodej architektury na poddaszu Ratusza należą do wystaw interesujących i wartościowych. Zebrane w niedużej przestrzeni projekty pozwalają się nieco zorientować, jakim tendencjom ulegają młodzi architekci, jaki jest sposób ich myślenia, jakość i stopień oryginalności ich propozycji, a pośrednio także kierunek i poziom nauczania architektury w Polsce.

Po roku od pierwszej wystawy, nawet bez sięgania do katalogu, przypominałem sobie z łatwością, co mnie na niej zainteresowało szczególnie. Był to na przykład projekt kościoła, którego wnętrze przemawiało surowością i skupieniem, choć może w zbyt małym stopniu różniło się od innych obiektów kultury użyteczności publicznej. Ale to problem we współczesnej architekturze szerszy, o którym trzeba by napisać więcej. Podobnie jak o rewaloryzacji starych miast i miasteczek. Projekty z tej dziedziny były pokazane w roku ubiegłym, jest coś z tego również obecnie. Powszechna jest, niestety – i to bynajmniej nie tylko u młodych architektów – tendencja do wprowadzania w takie przestrzenie zmian za wszelką cenę. Jakoś nie może do niektórych dotrzeć, że są miejsca – wcale niekoniecznie tylko te z najwyższymi zabytkami – które mają swój charakter, niepowtarzalny klimat. Rolą architekta opracowującego projekty dotyczące takich miejsc, powinno być zachowanie owego klimatu, specyfiki, podkreślenie charakteru miejsca. Ale do tego nie wystarczą umiejętności warsztatu wyniesione ze studiów. Trzeba mieć jeszcze wyczucie. Jego rozbudzenie i kształtowanie powinno też być zadaniem uczelni kształcących przyszłych architektów.

Przecież jest tyle przestrzeni w nowych dzielnicach, gdzie dałoby się z korzyścią zrealizować najbardziej nawet śmiałe i niekonwencjonalne pomysły architektoniczne. Owszem, bywają miejsca w starych częściach miast, w których można na zasadzie kontrastu także wprowadzić składniki wyraźnie nowe. Jeśli to jest dzieło wybitne – nawet wyskakując z otoczenia, stworzy nową interesującą jakość, albo włączy się harmonijnie w otoczenie starej zabudowy. Widziałem udane przykłady takiego współistnienia na miejskiej ulicy, choćby Londynu czy Poznania. Ale niekoniecznie muszą to być obiekty w rodzaju np. gigantycznego plastikowego kiosku, rozpychającego się wśród starych kamienic. Są jednak i takie miejsca, w których każda – a cóż dopiero nieumiejętna – ingerencja, zniszczy na zawsze to coś, ów nieuchwytny i wyjątkowy charakter, który można odczuć, ale trudno opisać – *genius loci*. Tylko zachowanie całych zespołów starych domów, w zabytkowym układzie urbanistycznym, tworzy rzecz wyjątkową, także pod względem atrakcyjności turystycznej. Niezależnie od tego, że poszczególne domki mogą być skromne i nie przedstawiać wielkich wartości architektonicznych.

Podobnie jest ze starymi miasteczkami. Zaczyna się szerzyć moda na nowe rynki w miasteczkach. Wszystko by było dobrze, gdyby właśnie trochę wyczucia. Kiedyś z wielu rynków porobiono skwery, małe parki, posadzono drzewa, które się przez lata rozrosły. Chce się teraz powracać do dawnego charakteru rynku, drzewa chce się wycinać, szkoda. A równocześnie, zamiast zachować lub odtworzyć historyczną nawierzchnię, jako jeden z najistotniejszych elementów, które decydują o klimacie miejsca – projektanci, zapewne na życzenie inwestorów, albo wysilają

się na bogate granity albo wprowadzają do takich przestrzeni betonową kostkę. Zamiast uszanować krajobraz kulturowy, wypycha się tandetę i blichtr, zakłócając bezpretensjonalne piękno polskich wsi i miasteczek. Nie dotyczy to oczywiście tylko nawierzchni. Przykład: co zrobiono niedawno z murem i bramą klasztoru w Leśniowie, tak malowniczo wpisanego w jurajski krajobraz.

Do tegorocznej wystawy mam parę uwag dotyczących jej strony ekspozycyjnej. Aby była dostępna dla szerszego kręgu odbiorców, nie powinna się ograniczać do projektów, nad którymi mogą podyskutować koledzy architektki, a przygodny widz przejdzie obok obojętnie. Pożądane byłoby więcej wizualizacji, ukazujących bez umownych uproszczeń, jak dany projekt zaistniałby w rzeczywistości. Może też przydałyby się architektoniczne fantazje, wizje, które dawałyby możliwość wnikania w sferę wyobraźni młodych architektów. Natomiast na takich prezentacjach niekoniecznie trzeba pokazywać prace o bardziej szkolnym charakterze, odpowiednie raczej ma przeglądach uczelnianych.

Z ubiegłorocznej wystawy zapamiętałem projekty, których piękno wynikało bezpośrednio z ciekawej konstrukcji. Na obecnej ekspozycji do tej kategorii można zaliczyć projekt skoczni narciarskiej.

Teraz pokazano też projekty nagrodzone w konkursie na balustradę wiaduktu w Alejach Najświętszej Maryi Panny. Rozwiązania są interesujące, choć ich autorzy, wydaje się, niezbyt się liczyli z miejscem, którego miały dotyczyć. Ciekawa byłaby balustrada montowana z małych płytek–blaszek, wydających dźwięki pod działaniem wiatru. Samą ideą trochę to przypominało grający na wietrze pomnik Hasiora. Ale wątpliwości budziła trwałość takiego rozwiązania. Inny autor zaproponował balustradę w formie rozwijanych rolek z wiadomościami o Częstochowie. Ładna byłaby balustrada zbudowana z kwiatów. Niekoniecznie nadawałaby się nad torami, ale może gdzieś udałoby się ją zrealizować. I wreszcie – obłe, nieregularne formy z betonu powlekane go tworzywem sztucznym, które zostały uhonorowane I nagrodą.

Gdy mowa o projektach dotyczących Częstochowy, budzi moje wątpliwości przedstawiony sposób rewaloryzacji Rakowa przez dostawienie pudełek. Raków jest dzielnicą o starych tradycjach robotniczych. Zachowały się tu robotnicze domy, tworzące zabytkowy zespół, zasługujący na zachowanie i konserwację. Zaś główna ulica, całe założenie Alei Pokoju z zaniedbanymi dziś blokami, powinna być przywrócona do pierwotnego stanu, gdy chodzi o wygląd elewacji i stan techniczny, bo jest zarówno świadectwem epoki, jak i dlatego, że reprezentuje niemałe wartości urbanistyczne i architektoniczne.

Zapamiętałem też pokazane w zeszłym roku propozycje zagospodarowania kamieniołomów. Ich wielką wartością jest zwrócenie uwagi na niezwykle cenne pod względem geologicznym, krajobrazowym i historycznym, a kompletnie zaniedbane miejsce. Nawet nie zabezpieczono urwistych wyrobisk i pozwolono na niszczenie pozostałości historycznych wapienników – charakterystycznych pieców do wypalania wapna. A mogłaby to być też atrakcja turystyczna. Gdy się chce odwiedzających przyciągnąć do miasta - nie tylko na Jasną Górę – trzeba myśleć o takich miejscach, których nie ma gdzie indziej, a które są dla Częstochowy charakterystyczne. Podobnie jak i o cennych zabytkach architektury przemysłowej (Browar, fabryka Mottego, Pelcery). Mogłaby to być przecież wizytówka miasta o tak bogatych tradycjach przemysłu, widoczna już od wjazdu, z okien pociągu.

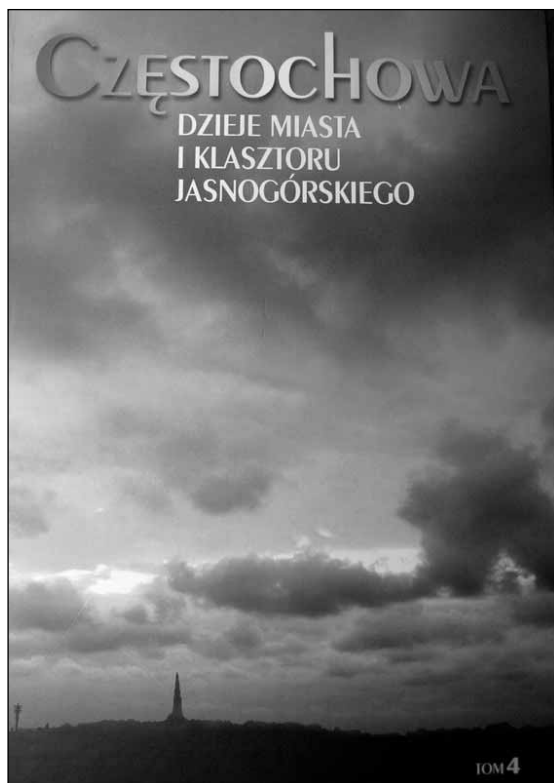
Na wystawie udostępniono również album, przedstawiający realizacje architektoniczne nagrodzone i wyróżnione w dotychczasowych częstochowskich konkursach architektonicznych „Primulus”, w latach 2001, 2003, 2005 i 2007. Wydawnictwo to – niezależnie od możliwych indywidualnych ocen poszczególnych obiektów – zwraca uwagę starannością przygotowania, elegancją formy graficznej, wysoką jakością edytorską. Ma też duże walory poznawcze.

Władysław Ratusiński

Monografia Częstochowy

Ukazał się IV tom monumentalnej monografii „Częstochowa. Dzieje Miasta i Klasztoru Jasnogórskiego”, obejmując okres po 1945 roku. Autorami poszczególnych rozdziałów są: profesorowie: Dariusz Jarosz, Ryszard Śmietanka-Kruszelnicki, O. Janusz Zbudniewek, Tadeusz Wolsza, Zygmunt Woźniczka, Jan Żaryn, Kazimierz Miroszewski, ks. Jan Związek, O. Zachariasz Jabłoński, Wojciech Zalewski. Dodatkowo „postscriptum” (okres po 1990 roku) opracował Jarosław Kapsa. Wydanie IV tomu kończy prace nad największym projektem badawczym nad dziejami Częstochowy. Nad całością prac czuwał prof. Ryszard Kołodziejczyk z Uniwersytetu Warszawskiego. Podczas promocji prof. Kołodziejczyk zauważył, że podobnego wydawnictwa nie doczekało żadne inne miasto.

To pewna przesada – istnieją znakomite (i wielotomowe) monografie Krakowa, Gdańska, Warszawy, żeby wspomnieć tylko niektóre ośrodki. Ale było miło podnieść się na duchu.



Encyklopedia Częstochowy

Rozpoczynają się prace nad kolejnym wielkim projektem badawczym - „Encyklopedią Częstochowy”.

Sętowski dostał „Miarkę”

Dr Juliusz Sętowski, częstochowski historyk i biograf, został tegorocznym laureatem prestiżowej Nagrody im. Karola Miarki.

Nagroda - za wybitny wkład w kulturę regionu śląskiego i kraju – przynoszona jest od 1983 roku przez samorząd województwa śląskiego (od 2006 r. także opolskiego). W tegorocznej edycji uhonorowani zostali także: Krystyna Bochenek (dziennikarka), Karol Cebula (mistrz ślusarstwa, galwanizowania i zabawkarstwa), prof. dr hab. Adam Suchoński (historyk), Jan Szymik (polski działacz na Zaolziu, ludoznawca, poeta i prozaik). Gratulujemy!



Laureaci Nagrody odbierali ją z rąk wicemarszałka Województwa Śląskiego Grzegorza Szpyrki i Stanisława Rakoczego, wicemarszałka Województwa Opolskiego

Słup niezależny

Przed „Megasamem” stanął słup ogłoszeniowy, przeznaczony dla promocji imprez realizowanych przez środowiska częstochowskiej kultury niezależnej. Prawo umieszczania na nim plakatów mają wyłącznie przedstawiciele owych środowisk nieformalnych: stowarzyszeń, klubów, teatrów itd.

Nasze wątpliwości wzbudziła nieruchomość słupa. Jaki on niezależny, skoro nie może ruszyć się z miejsca wyznaczonego przez urząd?



Ławka Haliny

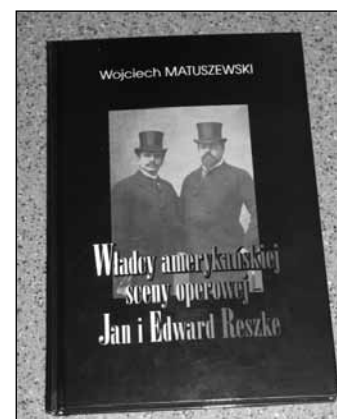
W Alejach stanęła ławka, na której przysiadła wybitna częstochowska poetka, Halina Poświatowska. Autorem projektu jest Robert Sobociński.

Z entuzjazmem witamy nowy (udany) pomnik na terenie naszego miasta.



Święto Muzyki

IX Święto Muzyki w Częstochowie poświęcono w tym roku m.in. braciom Reszke - zapomnianym przez świat wielkim śpiewakom operowym, związanym niegdyś z naszym regionem. Stowarzyszenie Przyjaciół „Gaude Mater” wydało przy tej okazji książkę Wojciecha Matuszewskiego „Władcy amerykańskiej sceny operowej Jan i Edward Reszke (Złoty Okres lat 1891-1903)”. Książkę przeznaczono dla największych polskich bibliotek, uczelni muzycznych, oper, krytyków muzycznych. Część nakładu (za sprawą autora) trafi na rynek amerykański.



Fot. Zbigniew Burda



Rok Wyspiańskiego

Obchody Roku Wyspiańskiego miały miejsce także w Częstochowie. Odnotujmy uroczystość w Szkole Podstawowej nr 17 z Oddziałami Integracyjnymi (im. Stanisława Wyspiańskiego). Spektakl o wybitnym polskim malarzu i dramaturgu - z motywami słynnego „Wesela” - zaprezentowali uczniowie tej szkoły. Laureaci międzyszkolnych konkursów poświęconych Wyspiańskiemu otrzymali nagrody.

„...a pod płótnem wiekiego coś chowa”

Świąteczne prezenty przygotował dla mieszkańców Częstochowy prezydent miasta. Nasz fotoreporter trafił akurat na moment, gdy pan prezydent pakował worek z upominkami.



Fot. Leszek Pilichowski

Konkurs im. Michalika



Fot. Leszek Pilichowski

Laureatka Nagrody Prezydenta Częstochowy, Malgorzata Synak - Idczak.

Plakaciarstwo

Wyborcze plakaciarstwo, które w niektórych miejscach nadal szpeci nasze miasto, czasem wywoływało efekty dość odległe od zamierzonych. Widzieliśmy coś takiego na ulicy Katedralnej:



Fot. Archiwum A3

Podziękowanie

Za dwie książki autorstwa wybitnego artysty fotografa, Jana Bulhaka, wydane jeszcze w latach międzywojennych - pięknie dziękuję Nieznajomej Ofiarodawczyni, która przyniosła ten cenny prezent do redakcji. Pragnę zapewnić, że książki stanowiąc będą ważne uzupełnienie moich skromnych zbiorów fotograficznych.

Zbigniew Burda

WOREK CZĘSTOCHOWSKI nr 6

Le Vorecq Czenstochovien

pod redakcją Janusza Piernikarskiego i Jana T. Podźdama

PO WYBORACH

I znowu mieliśmy wybory. W tym roku wszystko było inaczej: kampania krótka a agresywna, mało partii, stosunkowo wysoka frekwencja. Do kształtowania losów naszej ojczyzny pretendowali także częstochowscy artyści. Niestety, komitety wyborcze Partia Surrealistów Ludowych oraz Pejnterzy i Skulptorzy nie otrzymały zgody na rejestrację, a to z powodu nazw o dezorientujących skrótach. Nie udało się także kandydatom Unii Ogólnego Huku. Poeta, fagocista i dwaj malarze znaleźli się natomiast w komitecie Partii Szczupaków, ale ta jak zwykle nie otrzymała żadnego poparcia – czterej kandydaci w noc przedwyborczą tak zabalowali, że następnego dnia nie byli w stanie iść głosować na samych siebie. Może za cztery lata będzie lepiej. A może i wcześniej...

GAUDENTY WIECZNIE ŻYWI?

Modne stają się płótna częstochowskiej grupy tzw. malarzy szalonych (zwanej też dynastią, jako że istniała w kilku pokoleniach w latach 1911-1998). W ostatnim czasie pod młotek poszły trzy obrazy Gaudentego Babucha (oficjalnie 1961-1997): „Żyd jedzący cytrynę”, „Wyjście z pabu” oraz „Zosia i pawiany”, które osiągały ceny rzędu 40 tysięcy, podczas gdy płócien znanych współczesnych malarzy częstochowskich nie udało się zlicytować. Za ramą ostatniego obrazu nabywca znalazł kartkę z odręcznym pismem Babucha: „Jakby ktoś pytał, jestem w Ekwadorze”. Dotąd oficjalnie sądzono, że malarz nie żyje, a teraz już mamy dowód, że ukrył się w lesie tropikalnym. Ludzie, którzy mówią, że Elvis żyje i mieszka na Kilińskiego, niech się nie śmieją, bo to też może być prawda.

KRWAWA HEIDI

Operetka Częstochowska była zmuszona zawiesić działalność na czas nieokreślony po premierze spektaklu Friedricha von Maulwurfgraben „Pastereczka Heidi”, w wyniku której połowa zespołu trafiła do szpitala z ranami ciętymi. Akcja przedstawienia rozgrywa się w idyllicznej scenerii bawarskiej wsi. – Nie rozumiem, co się stało – tłumaczy choreograf Operetki, Ebenezer Krupa. – „Taniec kosiarzy” to trudny układ, odpowiedni dla bardzo doświadczonego zespołu baletowego, ale na próbach, z atrapami, wychodził bez zarzutu. No cóż... dobra samoocena to podstawa, ale zespół baletowy Operetki Częstochowskiej chyba przecenił swoje umiejętności.

NOWOŚCI WYDAWNICZE

Nakładem wydawnictwa „Kraplak Editions” ukazała się powieść Jewgienija Michajłowa-Triangulatora „Stepanida. Romans kafkowski” w tłumaczeniu częstochowskiego poety Krzysztofa Krzysztofa. O czym to jest, nie mamy pojęcia nawet po przeczytaniu, ale tytuł brzmi interesująco. Z przekładów na uwagę zasługuje też pierwszy tom trylogii Fernando Mąsgaya „Prawdziwe oblicze Capistrana Ubu-

caque”, wydany przez Oficynę Kolejarzy Stradomia. Solidny kawał latynoskiej prozy, wierzajcie mi.

STARSZA, NIŻ SIĘ WYDAJE

Znaczącego odkrycia dokonał brytyjski archeolog sir Henry Calessone, biorący udział w pracach wykopaliskowych w Kfar Yashbaan w Palestynie. Obudziwszy się w nocy, postanowił poprawić sobie materac dostarczony przez miejscowych Arabów i stwierdził, iż jest on wypchany strzępami pergaminów. Do rana badał inskrypcje, zapominając o zasadniczym celu ekspedycji. Jeden z fragmentów zawierał zdanie po aramejsku: „Mówił mi Izaak z (nieczytelne), że w Cstochow w ziemi Kanaanejczyków słowo „chpce” oznacza buty, a słowo „szekudnik” oznacza człowieka, który czyni nieporządek”. Sir Henry ocenił przybliżony czas powstania inskrypcji na pierwszą połowę XI wieku. Rzuca to nowe światło na najwcześniejsze dzieje Częstochowy, która, jak dotychczas sądzono, powstała nieco później.

CZĘSTOCHOWA DLA AFRYKI

Graficzka Danuta Waszasz, pracownik samodzielny Instytutu Sztuki na Akademii Jacka Długosza, znana z nieszablonowych rozwiązań w sztuce użytkowej i wzornictwie, brała udział w działaniach grupy ekspertów pracujących nad nowym modelem bankomatu. Urządzenie przeznaczone jest dla terenów wiejskich Czarnej Afryki i wydaje gotówkę w kozach. Danuta Waszasz zajmowała się projektem obudowy, nawiązującym do tradycyjnego zdobnictwa afrykańskiego. Trwają prace nad adaptacją bankomatu, aby mógł wypłacać również grubsze nominały.

KOMUNIKAT

Dnia 6 listopada o 18.00 przy ul. Huculskiej znaleziono brązową aktówkę z nie podpisanym wydrukiem powieści. Utwór charakteryzuje się oryginalną problematyką, plastycznym językiem, głębią psychologiczną i w zasadzie jest gotowy do wydania. Uczciwego autora prosimy o kontakt pod adresem redakcji.

Z KRONIKI RESTYTUCJONISTÓW

Idea odrodzenia województwa częstochowskiego staje się coraz bardziej popularna. Na ostatnim zebraniu Częstochowskiej Ligi Restytucjonistycznej pojawili się delegaci z Pyrzyc, koło Szczecina którzy zadeklarowali chęć znalezienia się w nowym województwie.

SPOTKANIA NA PELENGOWEJ

Centrum Studiów Artystycznych „Neshoma” przy ul. Pelengowej 15 proponuje kolejne zajęcia dla młodych artystów. 21 grudnia Mark Hades, lider grupy Rezun Explosion, poprowadzi wykład „Dzieje ryku muzycznego” oraz warsztaty profesjonalnego ryczenia. 22 grudnia planowane są zajęcia specjalnie dla młodych, dorabiających aktorów – „Jak być przekonującym Mikołajem”.

Piotr Staszczuk – artysta malarz. Ur. w 1967 r. w Zakopanem. Absolwent Inst. Wychowania Artystycznego WSP w Częstochowie (1997, dyplom z wyróżnieniem); obecnie kończy studia podyplomowe na Wydziale Pedagogiki Opiekuńczo - Wychowawczej Wyższej Szkoły Ekonomii, Turystyki i Nauk Społecznych w Kielcach; pracuje jako nauczyciel wychowania plastycznego. Uczestnik kilkudziesięciu wystaw indywidualnych i zbiorowych. Dwukrotnie laureat stypendium artystycznego Miasta Częstochowy (1996, 2000). Interesuje się malarstwem, paralotniarstwem i snowboardem oraz akwarystką.



